Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 50 Niedziela, dnia 12 grudnia 1926 roku Rok II-gi

TYGODNIK PRAWDA

Cena numeru 30 gr.

Prenumerata z dostawą do domu:
miesięcznie . . 1.35 zł.
kwartalnie . . . 4.— zł.
Konto w P. K. O. Nr. 63.353

ŁODŹ — WARSZAWA — POZNAŃ

Treść numeru:

DZIEŁO ROMANA DMOWSKIEGO.
CISZA W SEJMIE.
BEZPIECZEŃSTWO PUBLICZNE.
OBÓZ WIELKIEJ POLSKI. R. G.
MIĘDZY MŁOTEM A KOWADŁEM. Franciszek Rawita-Gawroński.
ROBOTNICZE ZW. ZAWOD. W POLSCE. Ks. Dr. A. Roszkowski.
POSTULATY WIERZYCIELI. J. Oraniecki.
LIST Z LONDYNU (Prasa angielska o Marszałku Piłsudskim i Wilnie). Stefan Kleczkowski.
LIST Z PARYŻA. Kaz. Smogórzewski.
PRZESADZANIE W PURYZMIE JĘZYKOWYM. Dr. Ign. Wieniewski.
CHARLESTON — BLUES — BOSTON. J-a Stycz.
RYNEK PIENIĘŻNY I GIEŁDA. Awil.
TEATR. — FILM.

Sprawy tygodnia

DZIEŁO ROMANA DMOWSKIEGO.

Idea „Obozu Wielkiej Polski" — obozu, w którym w zgodzie kwaterowałyby obok siebie stronnictwa narodowe o różnych jednak programach i tendencjach, tak jak zgodnie kwaterują w jednym garnizonie pułki różnej broni, zrodzić sie mogła tylko w umysłach polityków narodu, który ma poza sobą sto lat niewoli, a tylko osiem lat egzystencji w własnem niepodległem państwie, w głowach polityków, którzy przywykli państwo traktować jako siłę nieprzyjazną i przeciwstawiać jej zorganizowaną wolę p o d d a n e g o mu narodu, polityków, którzy ewentualności bezinteresownej, a nawet ofiarnej współpracy z państwem nigdy w swych koncepcjach nie brali pod uwagę.

W okresie niewoli i rozdarcia na trzy zabory instynkt samozachowawczy narodu nakazywał jednoczenie wszystkiego co polskie, bez względu na przekonania i programy. W tym jedynie celu, aby ratować duszę polską przed zagładą i skażeniem, aby stworzyć kodeks czy wyznanie wiary, obowiązujące każdego, kto polakiem chciał pozostać, bez względu na to, jakie oprócz tego pielęgnował ideały społeczne, polityczne, klasowe, aby utrzymać i rozwijać pragnienie niepodległości, tęsknotę za własnem niepodległem państwem. Idea rządu moralnego nad narodem jest ideą dla nas już niewspółczesną, bo posiedliśmy już własne państwo i rząd. I jeśli Obóz Wielkiej Polski pomyślany jest jako taki rząd moralny narodu — to koncepcja ta i dzieło to są utopją.

Naród, posiadający własne państwo, zjednoczyć może tylko pragnienie, aby to państwo było silne, bogate, wpływowe, aby zajęło poczesne miejsce w zespole innych państw i wnosiło jak najwięcej wartości do ogólnoludzkiego dorobku kulturalnego i cywilizacyjnego.

Ale to pragnienie nie jest w stanie zjednoczyć narodu tak dalece, by oprzeć można na niem koncepcję polityczną, jaka jest niewątpliwie koncepcja moralnego rządu nad narodem. Może zjednoczyć tylko elementy skrajno-nacjonalistyczne, śniące o dyktaturze narodu — czyli jak się to obecnie nazywa — żywioły faszystowskie.

To też Obóz Wielkiej Polski w zetknięciu z rzeczywistością stać sie musi zwykłą partją polityczną, taką samą lub lepszą, jak partje istniejące — zależeć to bedzie od programu i celów, jakie sobie nakreśli.

Roman Dmowski jest zbyt doświadczonym politykiem, by tego nie przewidział. Idee rządu moralnego nad narodem wysunął, licząc na to, że stuletni wpływ niewoli jest jeszcze bardzo silny i że hasła zjednoczenia narodu znajdą jeszcze silny oddźwięk. Ludzie poprostu nie orjentują się jeszcze, że od ośmiu lat są obywatelami własnego niepodległego państwa, że to państwo istnieje. Wciąż jeszcze śnia o wskrzeszeniu, o zdobywaniu państwa. W braku zaborcy i najeźdźcy, a więc w braku rzeczywistego nieprzyjaciela, urządza się manewry. Biali i czerwoni. Raz ci odgrywają role najeźdźcy, a drudzy „jednoczą" się, by zrzucić jarzmo — drugi raz odwrotnie. Tylko że te manewry bierze się na serjo i walczy się tak, jak walczyłoby sie z wrogiem. Drogiego każdemu polakowi z czasów niewoli hasła zjednoczenia sił narodowych użył tym razem Dmowski.

Ale w jakim celu? Czy uważa rząd obecny za zaborce, uzurpatora i pragnie przy pomocy zmobilizowanych legjonów narodowych wykurzyć go z Warszawy?

Nie. Raz jeszcze podkreślamy, że Dmowski jest doświadczonym politykiem i wie, że w takiej walce zginełoby państwo. Musi również wiedzieć, że tak samo jak idea komunistyczna, tak i idea faszyst. w społeczeństwie polskiem nigdy się nie przyjmie. Dla tej ostatniej istniały już korzystniejsze niż obecnie warunki, a nieprzyjęła się. Dopatrywać się faszyzmu w koncepcji Romana Dmowskiego — może tylko mało krytyczny lub strachobliwy przeciwnik, albo kawiarniany polityk.

Czegóż więc chce Dmowski? Zdaniem naszem pragnie poprostu ocalić ideę nacjonalistyczną w Polsce. Nacjonalizmowi polskiemu grozi jeśli już nie zagłada, to silny kryzys i obezwładnienie. Ideę tę skompromitowała przedewszystkiem Narodowa Demokracja w swoich targach, koziołkach i kompromisach politycznych. Spospolitowała ją w uprawianej przez siebie demagogji, a nigdy nie miała odwagi realizować jej, gdy znalazła się w odpowiednich warunkach.

I jeśli w Polsce nikt nie ma prawa powiedzieć sobie: „wygrałem", to Narodowa Demokracja wyznać musi i zapewne wyznała sobie, że przegrała i to bez prawa odgrywania sie, bo nie grała fair.

Klęska Nar. Demokracji stała się przyczyną niebezpieczeństwa dla idei nacjonalistycznej. Jedno po drugiem ze stronnictw narodowych wyrzeka się tendencyj nacjonalistycznych, z Nar. Demokracją nikt nawet pertraktować nie chce bezpośrednio.

Dmowski pragnie ratować idee nacjonalistyczną. Z Narodową Demokracja formalnie wziął rozbrat, a w Obozie Wielkiej Polski pragnie skupić ludzi i stronnictwa, które dotychczas reprezentowały te ideę. Obóz za grzechy dotychczasowe ludzi i stronnictw nie odpowiada. Wobec rządu obecnego i jego polityki może zająć stanowisko całkowicie inne, niż kwaterujące w nim stronnictwa zajmowały. A równolegle odbywać się będzie likwidacja tych stronnictw.

Z Narodowej Demokracji wyszły drogą secesji wszystkie stronnictwa, które Dmowski pragnie skupić w Obozie. Te żywioły, które zaakceptują nowy program Dmowskiego, nowe godniejsze naczynie dla przechowywania idei nacjonalistycznej — stworzą znowu jedno stronnictwo — reszta pójdzie w rozsypkę: zasili szeregi grup konserwatywnych i radykalnych.

Jaki będzie program tego przyszłego stronnictwa nacjonalistycznego — pokaże przyszłość. Dziś wystarcza nam to, że w t. zw. obozie narodowym dokonywa się na wielką skale pomyślana sanacja i rekonstrukcja.

Na innem miejscu zamieszczamy artykuł tej samej sprawie poświęcony. Autor artykułu, wybitny publicysta obozu narodow., wykazuje, że idea Obozu Wielkiej Polski, jako nadbudowy — jako dachu, nakrywającego programy i działalność wszystkich stronnictw narodowych, jest utopją. Tembardziej prawdopodobne są nasze przypuszczenia, że cel Dmowskiego jest zgoła inny.

* * *

CISZA W SEJMIE.

Od kilkunastu dni tocza się w komisjach sejmowych obrady nad rządowym projektem budżetu na rok 1927-my. Komisje pracują bardzo intensywnie, ale nadewszystko spokojnie.

Pamiętamy wszyscy wypadki podczas obrad komisyjnych a później plenarnych nad prowizorjum budżetowem na ostatni kwartał b. r. — owe namiętne dyskusje nad każdą pozycją — jeremjady na rozrzutność rządu— skreślanie niektórych pozycyj — i wiemy do czego to doprowadziło. Do ostrego konfliktu między sejmem a rządem, omal że do rozwiązania sejmu.

Nic podobnego teraz się nie dzieje, chociaż chodzi o rzecz stokroć ważniejszą niż prowizorjum kwartalne, bo o całoroczny budżet, od którego zależy bardzo wiele, a przedewszystkiem los naszej waluty. Bo jeśli rząd nawet w warunkach niesprzyjających zechce budżet wykonywać co do litery — to bez szkodliwych wstrząsów gospodarczych się nie obejdzie. Komisje pracują spokojnie, opozycja zachowuje sie lojalnie, jeden dział po drugim jest uchwalany w redakcji rządowej, zmiany są minimalne i żadna nie nosi charakteru demonstracyjnego.

Był wprawdzie drobny incydent przy budżecie ministerstwa sprawiedliwości. Zagalopował sie jeden z posłów socjalistycznych i w obelżywy sposób wyraził się o rządzie. Zresztą bez cienia złej woli — ot w zapale wymowy padło słowo niewłaściwe. Minister Meysztowicz na znak protestu opuścił posiedzenie komisji. Poseł obraził się na ministra, że wprowadza jakieś „nowe" zwyczaje i cenzuruje wyrażenia posłów, gdy mówią o rządzie. Bo przecież dotychczas wolno było rząd besztać i rugać ile sie panom posłom tylko podobało. I zażądał stuzłotowej kary od ministra za takie wykroczenie przeciw zwyczajom „parlamentarnym". Komisja uchwaliła oczywiście wniosek o skreślenie z budżetu ministerstwa sprawiedliwości 100 złotych na znak demonstracji. Ale incydent został zaraz potem zlikwidowany i lekcja zapewne odniesie skutek, przemówienia będą bardziej parlamentarne.

Z toku obrad komisyjnych wolno wnioskować o obradach plenarnych. Usłyszymy zapewne kilka opozycyjnych mów, ale na tem się skończy.

Dlaczego tak jest — co wpłynęło na zmianę taktyki opozycyjnej, zwłaszcza ze strony Związku Lud.-Narodowego? Dlaczego tak mało słyszy się teraz o p. Zdziechowskim, który był duszą opozycji budżetowej?

Przyczyny mogą być dwojakie. Albo Z. L. N. przypuszcza, że odpowiedniejszym momentem do bojowej opozycji będzie czas, gdy pojawią się poważniejsze trudności gospodarcze — albo też obecna taktyka pozostaje w związku z akcja p. Dmowskiego, która już od szeregu tygodni musiała być przygotowywaną.

P. Zdziechowski bierze czynny udział w organizowaniu Obozu, a obóz nie zadeklarował się jako nieprzejednany wróg obecnego rządu, ani nawet walki politycznej mu nie wypowiedział.

Może Narodowa Demokracja przygotowuje sie już do zrzucenia dotychczasowego szyldu Z. L. N. i do odrodzenia się pod znakiem Obozu z nowym programem i nowemi metodami działalności politycznej. A jeśli tak, to zrozumiałem jest, że stara się w okresie przejściowym stosować neutralność, aby jak najmniej utrudniać sobie zajęcie nowego stanowiska, które zapewne bedzie bardzo znacznie różniło się od stanowiska Z. L. N-u.

* * *

IZBY PRZEMYSŁOWO-HANDLOWE.

We czwartek ubiegły odbyła się pod przewodnictwem p. min. przemysłu i handlu walna narada reprezentantów wszystkich sfer przemysłowych i handlowych całego kraju w celu zajęcia stanowiska do opracowanego przez Ministerstwo projektu rozporządzenia, mającego powołać do życia jednolite Izby przemysłowo-handlowe na ziemiach polskich, na których ich dotąd nie było, zaś Izby, istniejące w Małopolsce, Wielkopolsce i na obudwu Śląskach, oprzeć na nowej podstawie prawnej.

Na naradzie poszczególne ugrupowania zrzeszeń gospodarczych, a więc wszystkich istniejących Izb, jak również związków wolnych wszystkich dzielnic, złożyły wobec p. ministra oświadczenie, stwierdzające całkowicie uzgodnione pomiędzy sobą stanowisko co do zamierzonego powołania Izb do życia wogóle, a co do najbardziej zasadniczej i spornej kwestji systemu wyborczego w szczególności.

Nie roztrząsamy na tem miejscu meritum zagadnienia, któremu niewątpliwie nieraz jeszcze na łamach pisma naszego poświęcimy specjalne rozważania, gdyż na tem miejscu interesuje nas w pierwszym rzędzie fakt nierównie ważniejszy i donioślejszy od samego wprowadzenia ogólnego ustroju izbowego: mianowicie zgoła wybitny, bo bodaj że nie mający jeszcze precedensu w niepodległej Rzeczypospolitej, fakt osiągnięcia zdrowego kompromisu; niwelującego najskrajniejsze, spierające się ze sobą i ścierające światopoglądy, a nawet interesy. Dość przypomnieć polemikę prowadzoną na łamach prasy przez zwolenników i przeciwników idei stworzenia nadbudówki izbowej na naszej organizacji życia gospodarczego, dość uświadomić sobie wielką rozbieżność interesów pod względem adaptacji tego lub owego systemu wyborczego, by uświadomić sobie, przez ile i jak wielkich przepaści musiał być położony most jednolitej wspólnej platformy. Przez osiągnięcie tego celu, którego w tak licznych, doniosłych momentach naszego życia zbiorowego państwowego i społecznego nigdy jeszcze zwalczającym się wzajemnie i w samem założeniu swojem sprzecznym interesom osiągnąć się nie udało — nasze organizacje gospodarcze złożyły wymowny dowód wysokiego poziomu swego wyrobienia, wielkiej dojrzałości politycznej i bardzo pogłebionego ducha państwowego. To musi być podkreślone i uznane, jako objaw wielkiej wagi i zadatek istotnej głębokiej zmiany metod w ujmowaniu zagadnień o znaczeniu państwowem, jakiego dopatrywać sie można i należy w fakcie zwycięstwa intellektu nad ciasnym partykularyzmem.

Prawda, że kupiectwo żydowskie zajęło narazie jeszcze stanowisko odrębne. To jednak uważać należy za manewr raczej taktyczny niż istotny, bo niewątpliwem się wydaje, że w toku dalszych jeszcze pertraktacyj nad szczegółami rozporządzenia całkowite uzgodnienie i z tym odłamem osiągnięte zostanie. Tymczasem jednak odrebność stanowiska tej grupy dała tę korzyść, iż drażliwa sprawa odmienności zabarwień wyznaniowych została raz przecie wyraźnie omówiona, przyczem ze stron obudwu padły słowa i oświadczenia, napawające jak najbardziej budującą otuchą, iż w tej dziedzinie animozje rasowe i wyznaniowe przestaną przynajmniej wywoływać starcia. Zatem może z czasem zanikną zupełnie i naprawdę, otwierając drogę do ujmowania i rozwiązywania zagadnień gospodarczych tylko i wyłącznie pod kątem widzenia gospodarczym?

* * *

NIEBEZPIECZEŃSTWO DLA BILANSU HANDLOWEGO.

Zarówno poszczególne wiadomości prasowe, jak zwłaszcza przemówienie posła Wiślickiego do p. min. Kwiatkowskiego na Komisji Budżetowej, zwróciły powszechną uwagę społeczeństwa na niepokojący objaw wzmagającego się przywozu tekstyljów. I istotnie, daje się zaobserwować, głównie w Małopolsce i Wielkopolsce, ale nietylko w tych dzielnicach, wzrastanie zasobów towarów zagranicznych. Byłoby już nie krótkowidztwem, ale wprost ślepota, zapoznawanie doniosłości tej sprawy, wykraczającej w swem znaczeniu daleko po za zakres bezpośrednich interesów samego tylko przemysłu włókienniczego. Żywe wspomnienia z lata r. z. uprzytamniają przecie wszystkim stosunek tej sprawy i do bilansu handlowego, i do kursu naszej waluty, i do klęski bezrobocia.

Źródłem zła są w tym wypadku nieszczęsne umowy specjalne, zawarte z Czechosłowacją i Austrją, a przyznające tym państwom (za jakie rekompensaty z ich strony?) osobne kontyngenty przywozowe w licznych gałęziach, m. in. też i we włókienniczej. Jeżeli ich zgubnego oddziaływania przemysł krajowy nie odczuwał dotąd, to tylko dlatego, że kontyngenty te były wyzyskiwane przez sfe-

ry handlowe w nieznacznym tylko stopniu. Przemysł krajowy zaspakajał wszelkie potrzeby i dawał kupującym dogodności, które stanowiły skuteczną przeciwwagę dla ewentualnych przewag towaru zagranicznego. Z drugiej strony również nieufność dostawców zagranicznych do zdolności kredytowej naszego kupiectwa była hamulcem naturalnym.

Odkąd jednak deruta w cenie bawełny uczyniła dla przemysłu najbardziej palącą konieczność możliwie szybkiego wyzbycia się możliwie jak największej ilości towarów, sąsiedzi nasi rozpoczęli wytężoną akcję wyrzucania towarów, kusząc niskiemi cenami i łatwym kredytem, jako że narazie nanowo ufają we wzmożoną nieco krzepkość handlu polskiego.

Niewątpliwie byłoby przesadą wołać „gore!" — napewno jednak niema przesady w nawoływaniu do zwrócenia jak najbaczniejszej uwagi na tlejące się zarzewie, które stłumić jeszcze można w zarodku. Dwa są na to sposoby: albo niezwłoczne zredukowanie kontyngentów dodatkowych, albo równie niezwłoczne przywrócenie ceł do ich pierwotnej wysokości parytetowej. Przemysł włókienniczy zawsze reprezentował na gruncie Komitetu Celnego tendencję możliwie jak na nasze warunki umiarkowanej ochrony i nie należał również do tych, którzy od miesięcy już nawołują do waloryzacji ceł, odkąd wartość stawek naskutek spadku kursu złotego zmniejszyła się o około 50 proc. Skoro jednak zaczyna z tego powodu odczuwać groźbę niebezpieczeństwa, mogącego pociągnąć za sobą konieczność ponownej klęskowej redukcji pracy, musi się domagać obrony ze strony, która jedynie zapewnić mu ją może.

Bo gdy niebezpieczeństwo stanie się realnem i widocznem we wszystkich swych objawach na ratunek już może być zapóźno.

* * *

BEZPIECZEŃSTWO PUBLICZNE.

Zbyt mało uwagi poświęca się w prasie sprawom, związanym z bezpieczeństwem publicznem. Policja nasza cieszy się oficjalnem uznaniem społeczeństwa — jest poprostu obowiązkiem wyrażać się pochlebnie o policji, chwalić jej dzielność i sprawność. Chodzi bowiem o wykorzenienie uprzedzeń i nieufności, jakiemi społeczeństwo nasze kierowało się w stosunkach z władzami policyjnemi zaborców. Chodzi o wszczepienie w umysły, że policja dzisiejsza, to nasza własna policja, że każdy policjant jest naszym współobywatelem, a nie nasłanym wrogiem i gnębicielem, że jest żołnierzem, broniącym ofiarnie naszego spokoju, mienia i bezpieczeństwa.

Ale uznanie, sympatje i życzliwość nie powinny wykluczać krytyki. A u nas niestety krytyka, gdy chodzi o działalność policji, milczy. Nie możemy bowiem uznać za krytykę rewelacyj o nadużyciach ani dowcipów i kawałów puszczanych w obieg w związku z działalnością policji.

Na krytykę i to surową działalność naszej policji zasługuje. Wobec liczebności korpusu policyjnego — stan bezpieczeństwa publicznego jest fatalny. Większość napadów, rabunków, większych kradzieży i włamań nie dostaje się do wiadomości publicznej, zwłaszcza jeśli wypadki takie zdarzają się na głuchej prowincji. Ale i to, o czem publiczność dowiaduje się z prasy, wystarczy, aby wzbudzić zaniepokojenie i wątpliwości, czy aby metody pracy naszej policji są właściwe, czy niema tam rażących braków i jakiego rodzaju są te braki.

Chodzi zwłaszcza o organizację i metody pracy policji kryminalnej. Spotykamy się często z opinją, że metody, które stosuje nasza policja kryminalna i środki, któremi dysponuje, są w porównaniu z zagranicą rażąco prymitywne. Służba rozpoznawcza, ewidencja, archiwa w powijakach — zdolnych i gruntownie przygotowanych specjalistów na palcach jednej ręki możnaby policzyć, kwalifikacje funkcjonarjuszy śledczych niżej wszelkiej krytyki. Zato wybujała biurokracja. Rzeczy, które zagranicą należą do elementarnych czynników pracy śledczej — pokazuje się u nas jako curiosa.

Nie wiemy, jak dalece słuszne są te opinje, na ten temat powinna rozwinąć się dyskusja — konstatujemy tylko, że w stan chroniczny wchodzą u nas rzeczy, które wszędzie byłyby w najkrótszym czasie zlikwidowane. W stolicy nie mija ani jeden tydzień, by nie rozpruto kilku kas w najruchliwszych punktach miasta, coraz częściej powtarzają się zdumiewające bezczelnością napady rabunkowe w klatkach schodowych, również w punktach najruchliwszych, nie mówiąc już o drobniejszych kradzieżach, których codziennie jest mnóstwo. A o unieszkodliwieniu szajek, czy pojedyńczych złoczyńców jakoś nic nie słychać.

O tych rzeczach należy jak najgłośniej mówić. Policja nasza na zewnątrz prezentuje się wspaniale. Jest doskonale wymusztrowana, dobrze ubrana, na defiladach kasuje sprawnością swoją wojsko — ale to przecież nie może stanowić o wartości policji. Może nawet zbyt wiele czasu i pracy poświęca się tym szczegółom. O wartości policji decyduje stan bezpieczeństwa publicznego — a w tem świetle policja nasza przedstawia się grubo gorzej.

Obóz Wielkiej Polski

Pod tym trochę bombastycznym tytułem powstała w Poznaniu nowa organizacja, nowa próba zjednoczenia rozproszonych sił narodowych do pracy nad przebudową dzisiejszej naszej państwowości. Inicjatywa wyszła od p. Romana Dmowskiego, który też stanął na czele nowej organizacji.

Motywy, któremi kierował się p. Dmowski, są słuszne. Każdy myślący obywatel, śledząc bieg naszego życia państwowego, doszedł do tej samej konkluzji, co i p. Dmowski. W państwie źle się dzieje: władza wykonawcza nie może użyć ani powagi swojej ani siły tam, gdzie potrzeba i jak potrzeba, władza ustawodawcza bez świadomości swych praw i odpowiedzialności jest igraszką w ręku jednostek, administracja bezładna, oparta na protekcjonizmie, a często na radykalizmie pełnym fanfaronady, nie gwarantuje obywatelom w najmniejszej mierze bezpieczeństwa i spokoju, skarbowość nieuporządkowana i samowolna.

P. Dmowski pragnie zaradzić temu, tworząc „Obóz Wielkiej Polski". „Dzisiejszy stan organizacji naszego życia" — powiada — „polega na rozbiciu sił na zbyt liczne stronnictwa". Słuszność tego spostrzeżenia rozumie i ocenia każdy, kto tylko obserwuje bieg naszego życia państwowego. Chodzi tu oczywiście o stronnictwa umiarkowanie narodowe, bo punkt widzenia stronnictw radykalnych jest klasowy i w tym kierunku idzie ich działalność. Robota taka jest dezorganizacyjna, antypaństwowa, chociaż przykrywa się pożytkiem państwa.

Źle jest przeto, że stronnictwa narodowe są zbyt liczne, więcej jeszcze — wątłe, a w istocie rzeczy różnią się tylko tytułami.

Uznając dobrą wolę stronnictw narodowych, dziś istniejących, p. Dmowski powiada jednak: „Nie naszą rolą jest paraliżować ich działalność. Nie możemy też nawoływać, ażeby się nagle przekształciły, zrewidowały swe programy i metody działania lub wchodziły z sobą w nieprzygotowane kombinacje, coby musiało wprowadzić zamieszanie w ich pracę. Lepiej jest, ażeby stronnictwa, które zaliczamy do narodowych, pozostały nadal czem są i pracowały tak, jak to uważają za najlepsze. Do nas należy nie mieszanie się w ich pracę, nie wkraczanie na sejmowy teren działania, ale rozwinąć pracę w kraju, skupiając rozbite dotychczas siły narodowe w jeden wielki obóz, złączony wspólnemi interesami. Gdy to się stanie, wtedy w sejmie będzie tylko jedno wielkie stronnictwo". Kazanie to należałoby zakończyć słowami: amen, niech się tak stanie!

Ale od słów do czynu daleka droga. W tej alokucji p. Dmowskiego jest jedna sprzeczność. Dostrzega on złe stosunki w państwie, pragnie je naprawić, słusznie kładzie nacisk na szkodliwe rozdrabnianie się sił narodowych na stronnictwa, a po tem wszystkiem powiada: „niech pozostaną stronnictwa dzisiejsze tem, czem są".

Co to znaczy? Niech kłócą się wzajemnie o drobnostki, a w chwili stanowczej niech zawiązują konwentykle między sobą lub z rządem, wygodne dla tej lub innej grupy. Ale przy takim handlu rzecz publiczną najczęściej djabli biorą.

Czy temu zapobieży Obóz Wielkiej Polski? Wątpić należy nawet wtenczas, gdy rzeczywiście uda mu się zjednoczyć wszystkie siły obywatelskie państwowo myślące. Tak czy inaczej, powstanie nowej organizacji o celach niewątpliwie pięknych, z konieczności oderwie niemało członków dzisiejszym stronnictwom, które mają swoje jasno określone cele i programy. A to nie wywoła zapewne wzajemnych, życzliwych stosunków. Tak więc robota, która miała na celu łączyć ludzi, stać się może w praktyce codziennego życia powodem do nowych zatargów.

Czemże w istocie ma być, może lub chce być Obóz Wielkiej Polski? Wielkiem stronnictwem być niechce, bo takie stronnictwo ma cel jasny: „ponieważ uznajemy, że rząd dzisiejszy jest zły i szkodliwy, dążyć będziemy do ujęcia władzy w własne ręce". Tak czynią wielkie stronnictwa wszędzie. Obóz pana Dmowskiego stawia sprawę inaczej, „Wiem, że źle robicie, ale walczyć z wami będę cicho za kulisami. A jak? — namyślę się jeszcze". Tymczasem niech stronnictwa obecne walczą ze sobą na chwałę uzdrowienia Polski, a rząd niech rządzi, nato jest rządem. My będziemy patrzyć i... gadać pięknie.

Nie chcemy wkraczać w przyszłość, bawić się w przepowiednie. Rzecz jest ideowo i piękna i pożyteczna, a jakie przybierze formy i charakter na gruncie praktycznym przewidzieć trudno. Dziś wiemy tylko tyle, że mają być obozy dzielnicowe, wojewódzkie, że miejsca na obozy i dygnitarze są już wybrani. Czekamy na rezultaty.

Potrzebujemy przebudowy nietylko naszego państwa, ale i naszej duszy, a przedewszystkiem nauczyć się myśleć państwowo.

Zastanowiwszy się nad całokształtem przemówienia p. Dmowskiego, nasuwa się pytanie: czem właściwie ma być Obóz Wielkiej Polski? Nie znajdujemy lepszej odpowiedzi jak chyba... rządem moralnym narodu — instytucją kierowniczą w naszem życiu politycznem i narodowem. Że w chaosie pojęć, panujących w społeczeństwie a także i rządzie potrzebna jakaś jednolita linja kierownicza, to chyba nie ulega wątpliwości. Żyjemy wśród niepewności jutra, rozbici na grupy i grupki, albo zwalczające się wzajemnie, albo uważające drobne sprawy i interesy partyjne za palladium narodowe, a siebie za ośrodek życia państwowego. Wśród drobnych swarów zatraca się idea państwowa lub utożsamia się ją ze stronnictwem. Obóz Wielkiej Polski ma być rządem moralnym lub chce nim być, kogo potrafi reprezentować — przyszłość pokaże.

R. G.

MIĘDZY MŁOTEM A KOWADŁEM

Nasza polityka zagraniczna, niemal od chwili odbudowy państwa, poszła krzywemi drogami. Zbyt ufaliśmy sile traktatu wersalskiego, opierając się o zachód, a z drugiej strony bawiliśmy się w zbyt bujną i fantastyczną politykę ekspansji na wschód.

Polityka ta na zachodzie szła ciągle, co do rezultatów pozytywnych, diminuendo: najprzód odrzucono protokół genewski, w którym W. Brytanja nieupatrywała dla siebie żadnego „interesu". Jej chodziło o spokój wszechświatowy, bo taki spokój — to handel. Potem nastąpiło Locarno, skąd wrócił najnaiwniejszy z polityków polskich pan Skrzyński i oświadczył całemu światu, że jest „szczęśliwy". Z czego się on cieszył — Bogu wiadomo, bo Polska wyszła z Locarna zdana na łaskę Niemców. Po zjeździe locarneńskim nastąpiły niewyraźne konszachty Brianda ze Stresemanem w Thoiry, gdzie przedmiotem zakulisowych przetargów była Polska. O nietykalności traktatu wersalskiego mówiono coraz częściej wprawdzie, ale coraz widoczniej było, że są to rozmowy, prowadzone dla ratowania pozorów prawa i sprawiedliwości. Niemcy nic sobie z tego traktatu nie robiły, jawnie głosząc potrzebę złamania go.

Mrzonka federacyjna wplątała nas w wojnę z Rosją w roku 1920, która o mało nie zakończyła się klęską. Zdołaliśmy się obronić i zmusić Rosję do pokoju. Z powodu zwycięstwa zbieraliśmy tanie laury za uratowanie Europy od bolszewizmu. Znamy tę piosenkę od roku 1603: laury pozostały dla historji, a my musieliśmy płacić za nie w rzeczywistości. Na coś podobnego zanosi się i teraz: państwo nasze coraz wyraźniej jest wysuwane za nawias polityki międzynarodowej, a staje się natomiast objektem pokątnych targów. Trudno przewidzieć, czem się one zakończą, ale izolacja nasza polityczna coraz bardziej staje się widoczną. Dyplomacja nasza, opierając się zbytnio o Francję, jako jedyne życzliwe dla nas państwo, nie zdołała ani złagodzić naszego antagonizmu z Rzeszą niemiecką, ani stworzyć poza Rumunją silniejszych przyjacielskich związków.

Poza Niemcami obawy nasze zwrócone były na wschód ku Rosji. W gruncie rzeczy państwo polskie nie miało — z wyjątkiem Francji, dziś wahającej się — żadnego oparcia na wypadek nowej burzy wojennej.

Łudziliśmy się długi czas, że możliwy będzie blok państw od północnych granic Finlandji po Białogród czarnomorski (Akerman). Ale wciągnięcie państw bałtyckich do sojuszu odpornego okazało się z wielu względów niemożliwe. Litwa, Łotwa i Estonja tak są zależne od wpływów gospodarczych Rosji i tak się obawiają agresji z jej strony prędzej czy później, że do żadnej stanowczej akcji przeciwko Moskwie pociągnąć się nie dały i prawdopodobnie nie dadzą. Pozostaje Rumunja, której sojusz z nami contra Rosji sowieckiej z wielu względów jest wartości przejściowej i bardzo problematycznej.

Tak więc, mając od zachodu Niemcy na karku, a pomoc — kto wie, czy nie pisaną na piasku — najdłuższa nasza wschodnia granica dzieląca nas od państwa największego w świecie i najbogatszego pod względem darów przyrody — stoi pod znakiem zapytania.

Z tego powodu i życie nasze państwowe układa się nieprawidłowo, w granicach wahań i niepewności.

Rosja ma swoje wielowiekowe aspiracje — jest to zbliżenie się do Bałtyku i oparcie całej swojej olbrzymiej połowy państwa o morze Bałtyckie. Białe morze zamarza, Kronstadt również, Czarnomorze aż do końca XVIII-go wieku było niedostępne. Nic dziwnego, że Rosja już od początku XVI-go w. parła do Bałtyku. Piotr I. zdobył najgorszą jego część, dopiero następcom udało się opanować Rewel i Rygę. Każde państwo, w ten lub inny sposób zagradzające Rosji drogę do Bałtyku, musi być jawnym lub ukrytym nieprzyjacielem Rosji. W tym punkcie także skupiają się interesy Rzeszy niemieckiej natury gospodarczej, gdyż obszary nadbałtyckie od Kłajpedy stanowią ważny objekt dla posuwania się kolonizacji niemieckiej. W interesie Niemiec leży popieranie Rosji w odzyskaniu utraconego pobrzeża Bałtyku.

Próby przeto z naszej strony wciągnięcia być muszą jako akcja skierowana przeciwko Rosji, co oczywiście nie może wywoływać w tych państewek w sojusz odporny, uważane rządzie sowietów miłego wrażenia.

Z drugiej strony zupełnie niepotrzebnie, prawdę powiedziawszy, zbytnio interesujemy się sprawami wewnętrznego życia i ustroju Rosji. Niewątpliwie jest to ustrój utopijny, ale to rzecz nie nasza. Więcej tu chodzi o nowe tytuły i o nazwy, niż o treść. Republiki sowieckie są niczem innem, jak skupieniem pewnej ilości dawnych gubernij, gdzie na czele stoi, zamiast generał-gubernatora, komisarz, pełnomocny prawie, i rada. Rosji mogą się również niepodobać nasi wojewodowie i starostowie. Nie o to chodzi. Ponieważ jednak nie mamy zamiaru, ani możemy zmienić ustroju państwowego Rosji, pozostawmy ją pod tym względem w spokoju.

Należy raczej dążyć do tego, ażeby niepotrzebnie nie drażnić i nie niepokoić sąsiada, lecz znaleźć drogę rozumnego współżycia i bezpieczeństwa.

Trzeba przyznać, że pod tym względem nie widzimy dodatnich rezultatów, dzięki niezbyt szczęśliwemu wyborowi naszego przedstawicielstwa w Moskwie. P. Kętrzyński może byłby dobrym bakałarzem na katedrze historji, ale został posłem dzięki chyba temu nieuchwytnemu przypadkowi, który, jak w Rzplitej Babińskiej, robi nieumiejącego pisać — kanclerzem a niedołężnego pachołka — hetmanem. W żadnej dziedzinie nigdy nie okazał p. Kętrzyński zdolności dyplomatycznych, to też nie zdołał przeszkodzić traktatowi Moskwy z Litwą, a stosunki rosyjsko-polskie pozostawił pod znakami zapytania. Czy lepszym będzie p. Patek? Wątpić należy. W Moskwie będzie krępowany — si fabula vera — swemi stosunkami rodzinnemi.

Nasz interes narodowy leży nie w drażnieniu Rosji, lecz wynalezieniu dróg trwałego i pożytecznego dla obu stron współżycia państwowego. Tylko w ten sposób możemy naszą politykę międzynarodową doprowadzić do równowagi. Niepodobna, ażeby dwa największe państwa słowiańskie albo zwalczały się wzajemnie, albo stały naprzeciwko siebie, ku uciesze nieprzyjaciół, jak dwa brytany, ciągle błyskające ku sobie kłami.

Przeżywamy okres przekształcania się stosunków międzynarodowych w Europie: rasa anglo-saska z W. Brytanją na czele tworzy unję państw, coraz głośniej poczyna się mówić o związku państw łacińskich, Niemcy dążą do połączenia się z Austrją i oderwania górnej Adygi od Włoch, jedynie Słowianie dają gorszące widowisko ciągłych zatargów między sobą i są tylko materjałem takim, czy innym w dziedzinie obcej polityki. Dwa największe państwa słowiańskie — Rosja i Polska — muszą koniecznie szukać drogi, wiodącej do ustalenia pokoju na wschodzie.

Jakiemi drogami dążyć do tego celu — zastanowimy się nad tem w następnym artykule. Z pozycji między młotem a kowadłem wyjść należy.

Franciszek Rawita-Gawroński.

CO STRACILI i czego domagają się wierzyciele?

Cały wysiłek rządu obecnego i społeczeństwa skierowany jest obecnie do trwałego uzdrowienia naszej gospodarki. Dzieło to oprzeć należy na mocnym fundamencie. Zasadniczym jego zrębem jest pozytywne rozstrzygnięcie t. zw. sprawy wierzycielskiej.

Sprawa ta, fatalnie dla wierzycieli załatwiona przez „ustawę waloryzacyjną z dnia 14 maja 1924 r., przez długi czas tendencyjnie była trzymana w zaniedbaniu. Pod tym względem wszystkie poprzednie rządy były solidarne w swej taktyce.

Od wydarzeń majowych zaczyna się w tej dziedzinie moment zwrotny, uwieńczony pierwszym sukcesem w dniu 14 października. Za taki bowiem uważać należy opinję P. Prezydenta Rzeczypospolitej, wyrażoną na posłuchaniu delegatów wierzycieli, że sprawę uznaje za ważną i pilną, a w jej załatwieniu domagać się będzie „energicznego tempa".

Istotnie wola Pana Prezydenta dodatnio wpłynęła na tok rzeczy w Min. Skarbu, od którego sprawa wierzycielska zależała i do ostatniej chwili zależną pozostaje. Są widoki więc rychłych decyzyj. Na wspomnianej audjencji delegaci otrzymali wyjaśnienie, że udział wierzycieli w rozstrzygnięciu sprawy będzie oficjalny i autorytatywny, a to dzięki temu, że władze rządowe postanowiły powołać specjalną mieszaną Komisję Ankietową. Według ostatnich tendencyj sprawę rozstrzygnie samodzielna decyzja organów rządowych.

Jakie jest meritum sprawy wierzycielskiej? Jeśli dziś się mówi o zaniku oszczędności i słychać narzekania z tego powodu, jeżeli mówi się o braku kredytu i jego drożyźnie, to stan rzeczy przed wojną był na terenie obecnych ziem Rzeczypospolitej zupełnie odmienny. Oszczędności były bardzo znaczne. Po przeliczeniu stanowią one równowartość 3118 milj. zł. (b. zabór rosyjski — 1212,9 milj., b. zabór pruski — 1088,2 milj., b. zabór austr. — 855,9 milj., Sląsk Cieszyński 61,5 milj.).

Prostą konsekwencją tego było bujne tempo życia gospodarczego.

Przyszła wojna. Rosjanie wywieźli część pieniędzy i walorów (ogólna suma pretensji ze strony Polski na zasadzie traktatu ryskiego sięga 2 miljardów rb. zł.) potem przyszła inflacja. Jednocześnie państwo wydobywało pieniądze od obywateli w postaci t. zw. pożyczek wojennych, „odrodzenia" i t. p., na swoją rękę robiły to różne municypalności.

Katastrofalny spadek marki polskiej, na której nie było zresztą oznaczonej relacji do złota, doprowadził wszelkiego rodzaju lokaty dosłownie do zera. Cały szereg zaś lokat rublowych, markowych znalazł się pod znakiem zapytania.

Jasnem się stało, że państwo dla usunięcia wątpliwości i dla zaprowadzenia ładu na rynku pieniężnym i kredytowym musiało ustalić mierniki wartości i zasady przeliczenia. A to tembardziej, że państwo samo było dłużnikiem. Ma się rozumieć, że inflacja stworzywszy raj dla dłużników prywatnych, którzy groszami spłacali sumy w setki tysięcy przy równowartości złotu idące, wprowadziła wielki zamęt nietylko gospodarczy, ale i w dziedzinie pojęć moralnych. Zasłaniając się płaszczykiem t. zw. strat wojennych, dłużnicy poczęli domagać się zmniejszenia swych zobowiązań. Ustalenie ich w pełni, grozić miało ruiną. Wierzyciele natomiast stojąc twardo na zasadzie prawa, domagali się pełnego wyrównania należności, jako jedyny wyłom w swem prawie własności uznając dopuszczalność moratorjum. To ostatnie zresztą było ich udziałem w czasie całej wojny. Wierzyciele gotowi byli zrezygnować w pewnym stopniu z odsetek w stosunku do tych dłużników, którzy stracili czasowo swe dochody, jak np. kamiecznicy wskutek t. zw. ochrony lokatorów. **W wyjątkowych wypadkach, gdzie nietylko dochody, ale i substancja majątkowa dłużnika uległa zmniejszeniu czy zniszczeniu, wierzyciel oczywiście gotów był i jest ponieść proporcjonalną stratę.**

Stanowisko wierzycieli było umotywowane racją prawną, że dłużnik obowiązany jest oddać to, co winien, ponieważ umowa kredytowa zawierana jest zawsze w takiem zrozumieniu, a celem jej są zyski z procentów.

Art. 1895 K. C. głosi coprawda, że dłużnik jest obowiązany do uiszczenia tylko sumy liczebnej, wyrażonej w umowie. Tem nie mniej nie należy interpretować tego tak, że dług może być uregulowany nominalnie, niezależnie od wartości środka płatniczego. Nie pozwala na to sama koncepcja pieniądza złotego, jako znaku płatniczego, mającego zdolność umarzania zobowiązań. Prawodawca mówi tu wyraźnie o „monecie" kruszcowej, a nie o znaku pieniężnym. Zresztą, nawet złoto dziś straciło 40 proc. swej wartości w stosunku do innych dóbr; a więc i regulacja złotem jest z krzywdą wierzyciela.

Tymczasem autorzy rozporządzenia t. zw. „waloryzacyjnego" zupełnie pominęli te argumenty i uznawszy konieczność redukcji długów wobec **trudnej sytuacji dłużników wogóle, a w szczególności właścicieli nieruchomości**, mieli odwagę z prof. Zollem stwierdzić, że „zmniejszenie wysokości zobowiązań **nie jest** wywłaszczeniem wierzycieli, lecz podniesieniem obowiązku spłat nominalnych, przez żadną ustawę dotąd nieuchylonych".

Tak pojąwszy swe zadanie, autorzy fatalnego rozporządzenia stanęli w sprzeczności z ustawą o **naprawie skarbu** z dnia 11.1 1924 roku, która mówi wyraźnie tylko o „przerachowaniu na nową walutę zobowiązań prywatno-prawnych oraz ustaleniu sposobu i terminu ich spłat".

Wyraz **„sposobu"** pojęli oni jako upoważnienie do **redukcji** zobowiązań, a to co zrobili, określili przewrotnie i ironicznie „podniesieniem obowiązku spłat".

W ten sposób, np. spłaty wkładu bankowego, doprowadzili do zupełnego skreślenia tych należności, bo bank za należności przedwojenne z rachunków bieżących obowiązany jest płacić **nie mniej** (o ironjo!) niż w stosunku 1,800,000 mk. = 1 zł. Gdzie w Polsce jest taki, co miałby na rach. bież. 1 milj. rb.? Niech się więc zgłosi, to dostanie złotówkę za fatygę.

Że autorzy rozporządzenia nie rozumieli zupełnie tego, iż wszelkie zobowiązania zawierają się w stosunku do złota, a więc, w sposób domniemany, w jednostkach złotych, świadczy najlepiej fakt następujący: Oto nowa ustawa w sposób wyraźny nigdzie nie wskazuje, że nowe normy obliczane są w stosunku do złotej jednostki monetarnej polskiej. W rezultacie spadek złotego z 1 dol. = 5,18 do 1 dol. = 9,00 zł., przyniósł wierzycielom nową stratę blisko 80 proc. ich należności.

Reasumując, stwierdzamy, że ustawa waloryzacyjna krzywdzi wszystkie kategorje wierzycieli; jest sprzeczna z art. 99 Konstytucji, wywłaszcza bowiem pewną kategorję obywateli. Nie nosi w sobie cech stałości. Zniszczyła całe grupy wierzycieli, którzy lokowali w bankach i kasach oszczędności. Poderwała przez to zaufanie do tej formy operacyj finansowych, niszcząc naturalna podstawę łatwego i taniego kredytu. W dalszych skutkach wprowadza chaos do naszego życia gospodarczego, rugując z niego zaufanie.

W chwili, gdy Polska szuka zagranicą kredytu, polscy obywatele zrażeni do warunków finansowych w Polsce, lokują 300 milj. złotych na berlińskich nieruchomościach.

W imię praworządności i racjonalności gospodarczej, ustawa ta winna być jak najrychlej poprawiona, jeśli nie zniesiona.

J. Oraniecki.

ROBOTNICZE ZWIĄZKI ZAWODOWE

Historja ruchu zawodowego. — Zadania organizacyj zawodowych. — Ruch zawodowy w Polsce przed wojną. — Działalność związków po wojnie i jej braki.

Liberalizm, proklamując wolność, zniósł wszelkie organizacje zawodowe, jako sprzeczne z zasadą wolności. Uczynili to ustawodawcy francuscy w okresie wielkiej rewolucji pierwsi na terenie Europy, a za nimi kroczyli inni.

Robotnik uzyskał wolność teoretyczną, w życiu zaś realnem stał się niewolnikiem. Pozostawiony samemu sobie, został rzucony na pastwę losu — a wolność i swobodna umowa o pracę okazały się podarkiem fatalnym. talnym.

Los robotnika staje się politowania godnym, a historja maluje krwawe obrazy skutków tej wolności.

Jako reakcja przeciwko takiemu stanowi rzeczy rodzi sie interwencja władz państwowych, a w zwiazku z nią — prawodawstwo ochronne. Rodzi się teorja, że robotnik nie jest w możności korzystać z proklamowanej wolności, gdyż nierówne są punkty wyjścia dla niego i dla przedsiębiorcy.

Dla pierwszego praca jest jedynym środkiem utrzymania — przeto nie może czekać z jej lokatą aż do uzyskania lepszych warunków — ale musi pod groźbą utraty życia godzić się na warunki podyktowane.

Życie więc przemówiło silniejszemi argumentami, niż wszelkie teoretyczne wywody. I odtąd klasa robotnicza dąży do obrony swych interesów, tworząc organizacje, najpierw tajne, a następnie zdobywa ich legalizację. Stało się to na terenie Anglji już w roku 1824 — w Niemczech w 1867 roku — we Francji w 1884 roku, a w Rosji dopiero w 1906 roku. Dziś niema już w Europie — a nawet i poza Europą — żadnego cywilizowanego kraju, gdzieby prawo koalicji nie zostało prawnie uznane.

Powstały więc rozliczne związki robotnicze — o rozmaitego rodzaju tendencjach — mające jednakże na celu poprawę doli warstwy robotniczej. Statystyka zaś z roku 1910 wykazuje w Anglji, Niemczech, Stanach Zjednoczonych, Francji, Włoszech, Belgji i Holandji — ogółem około 16 miljonów zorganizowanych robotników.

Po wojnie ruch ten pod wpływem różnych czynników niepomiernie wzrósł. Statystyczne dane z roku 1919, opublikowane przez Międzynarodowe Biuro Pracy mówią o 33 miljonach robotników, zorganizowanych w rozmaitego rodzaju stowarzyszeniach.

Działalność związków zawodowych — należycie spełniających swe zadania, dotyczyła następujących spraw:

1) zapewnienia robotnikom lepszych zarobków i lepszych warunków pracy;

2) obrony zagrożonych praw lub ochrony przed niesprawiedliwością;

3) prowadzenie walki środkami, uznanemi za możliwe do podjęcia, celem przeprowadzenia postulatów;

4) oceny istniejącego ustawodawstwa społecznego oraz jego rozwoju na drodze legalnej;

5) badania kwestji robotniczej, zbierania odpowiednich materjałów, informowania społeczeństwa i państwa oraz reprezentowania spraw robotniczych wobec państwa i innych organizacyj zawodowych;

6) uświadamiania mas robotniczych i szerzenia wśród nich zasad moralności oraz solidarności zawodowej i społecznej;

7) szerzenia zawodowego wykształcenia wśród robotników;

8) wreszcie zakładania instytucyj, zmierzających do polepszenia dobrobytu robotnika.

Silne i dobrze prowadzone organizacje robotnicze na zachodzie realizują ten program, mając ku temu nietylko środki — ale co główniejsza — ludzi.

Podstawą jednakże całej akcji związków jest przedewszystkiem to, że warstwy robotnicze zachodu zdają sobie sprawę z tej okoliczności, że współczesny organizm społeczno-gospodarczy przedstawia obraz wielce skomplikowany, a rodzące się w nim zagadnienia nie mogą być za jednem cięciem i bez należytego przygotowania rozwiązywane, że nie wystarczą argumenty siły fizycznej, czy też zdolności djalektyczne — ale tylko dane, oparte na wynikach przeprowadzonych badań. Przekonano się, że zarówno do bezpośredniego jak i do pośredniego polepszenia bytu warstw robotniczych dążyć można jedynie przy pomocy aparatu naukowego oraz gruntownie opracowanego programu. I dlatego widzimy tam na czele związków nie ludzi operujących tylko demagogją, ale ludzi przygotowanych ogólnie i zawodowo do tych skomplikowanych zagadnień. Związki zawodowe zachodu wysuwają postulaty opracowane przez prawników, ekonomistów, statystyków, będących na ich usługach — a więc posługują się materjałem rzeczowym.

Zdając sobie sprawę z potrzeby należytego przygotowania, zarówno ogólnego jak specjalnego, do pracy w organizacjach związkowych — związki wszelkich odcieni nie zapominają też o warstwach dołu. Niezależnie od tendencyj swych, zdają sobie sprawę, że osiągnięcie celów właściwych możliwe będzie o tyle, o ile klasa robotnicza będzie ogólnie i fachowo do swych zadań przygotowana. Przeto — konieczność prowadzenia szkół i kursów dokształcających w zakresie ogólnego wykształcenia — a następnie szkół, przygotowywujących zawodowo.

Szkoły te prowadzą związki bądź to na własny rachunek, bądź też wspólnie ze związkami przedsiębiorców, czy też w porozumieniu z poszczególnym fabrykantem.

Szczególniej uwagę na fachowe przygotowanie zwracają w ostatnich czasach Niemcy, Belgja i Anglja. Statystyka szkolnictwa zawodowego Belgji np. z 1922 r. wykazuje 123 szkół związkowych różnego typu.

Wszystko to wymaga wprawdzie odpowiednich środków — ale dobra organizacja już sama przez się ułatwia ich zdobycie — a robotnik ze swej strony, widząc realne korzyści materjalne i moralne, chętnie ze składką na ten cel śpieszy.

A jak się przedstawiają prace organizacyj robotniczych w Polsce? By należycie tę kwestję wyświetlić, musimy pamiętać, że ruch robotniczy w Polsce związany jest z ruchem analogicznym państw zaborczych. Stosunkowo najpóźniej uzyskali robotnicy prawo koalicji w b. Kongresówce, bo dopiero w 1906 roku. Ponieważ zaś ta dzielnica, jako najbardziej uprzemysłowiona, liczy największe rzesze robotnicze — przeto ruch w tej dzielnicy nadaje poniekąd piętno całemu ruchowi.

Do wybuchu wojny liberalizm na terenie Kongresówki święcił triumfy w dziedzinie pracy. To też położenie warstwy robotniczej w tej dzielnicy było najbardziej pożałowania godne. Organizacje były za słabe, aby się mogły przeciwstawić tendencjom liberalnym przedsiębiorców — a interwencja państwowa zawodziła.

W innych dzielnicach ruch robotniczy rozwijał się lepiej — ale za to — wyjąwszy Górny Śląsk — słaby rozwój przemysłu uniemożliwiał osiągnięcie lepszych rezultatów.

To też z chwilą powstania państwa polskiego związki zawodowe robotnicze z całą energją przystępują do podniesienia zarobków robotniczych, a także do przeprowadzenia prawodawstwa socjalnego. Sprawa pierwsza z chwilą stabilizacji waluty — częściowo przynajmniej załagodzona — traciła na swem napięciu. Jednakże w związku ze stagnacją gospodarczą — a następnie zachwianiem kursu waluty oraz wzrostem drożyzny znowu pochłonęła energję związków zawodowych. To też ustawicznie słyszymy groźby strejków tych czy innych grup robotniczych.

Sprawa druga, t. j. sprawa interwencji państwowej i prawodawstwa szła w dość szybkiem tempie naprzód pod wpływem nastrojów chwili i rewolucyjnych prądów.

Zasada humanitarności rozwinięta w niem, teoretycznie słuszna — musi mieć jednakże do swej realizacji podstawę ekonomiczną. Z chwilą, gdy tej wskutek stagnacji gospodarczej brakło, zaczęto przeciwko prawodawstwu temu podnosić poważne zarzuty, żądając jego rewizji, jako konieczności rozwoju gospodarczego. Zadaniem organizacyj zawodowych robotniczych wszelkich odłamów było przeciwstawić się temu, jako zamachowi na zdobycze socjalne warstwy robotniczej.

I możemy powiedzieć, że były to i są dwie najważniejsze dziedziny pracy naszych związków zawodowych. Wprawdzie tu i ówdzie prowadzono akcję uświadamiającą wśród robotników — drogą odczytów, czytelni, kursów — ale są to raczej luźne prace.

Nie spotykamy systematycznej akcji oświatowej i zawodowej zmierzającej do należytego przygotowania robotnika pod względem ogólnego, politycznego i fachowego wykształcenie. A przecież, jeżeli gdzie, to w Polsce szczególniej, jest dużo do zrobienia w tym kierunku. Praca ta leży zupełnie odłogiem — a związki zawodowe, jak gdyby nie doceniały całkiem znaczenia jej dla dobrobytu warstwy robotniczej. Związek zawodowy staje się jedynie narzędziem walki. Nie widać też w naszych organizacjach zawodowych tego fachowego i gruntownego ujmowania zjawisk życia społeczno-gospodarczego.

Wskutek tego zaś zarówno pośród kierowników warstwy robotniczej, jak i niej samej wytwarza się brak poczucia odpowiedzialności. Za wszystko wini się państwo, warstwy posiadające i warunki społeczne.

Związki zawodowe polskie muszą zatroszczyć się o światłych i uzdolnionych kierowników.

Broniąc swych zdobyczy i dążąc do lepszych zarobków, muszą specjalną zwrócić uwagę na pozytywną pracę.

Zamiast demagogji powinny wejść na drogę gruntownych badań i ocen. Nie odrzucać ludzi nauki — ale ich przyciągać. Starać się o wyrobienie naczelnych jak i niższych pracowników, a skończyć bezwzględnie z monopolem żerującej na ruchu zawodowym kliki „półmędrców" i demagogów.

Ruch robotniczy polski powinien wzorem analogicznego ruchu na zachodzie, wejść na szersze tory i wysunąć na czoło dorosłych do spełnienia tego zadania sterników — a wtedy porozumienie warstw będzie łatwiejsze i spokój społeczny zabezpieczony.

Ks. Dr. A. Roszkowski.

List z Londynu

Anglik o Marszałku Piłsudskim. — Sprawa wileńska w oświetleniu „Timesa". — Brytyjska Republika Państw.

Londyn, w grudniu 1926 r.

Wybitny publicysta angielski, sir John Foster Fraser, znany już jest bliżej czytelnikom „Prawdy" ze swych enuncjacyj na temat różnych politycznych i prywatnych przywar polskiego charakteru, które na łamach „Lloyds News" niedawno scharakteryzował.

Obecnie na szpaltach liberalnego dziennika „The Eveningg Standard" puszcza wodze swej dziennikarskiej fantazji na temat osoby marszałka Piłsudskiego. Jego uwagi i spostrzeżenia, pisane stylem błyskotliwym i kapryśnym, są właściwie dowolną litanją różnych epitetów i określeń, zebranych na podstawie raczej plotek, aniżeli poważnych źródeł. Stąd też artykułu jego p. t. „Romantyczny konspirator" nie można uważać za jakieś głębsze studjum polityczne lub psychologiczne. Jest to właściwie całkiem dowolnie traktowany polityczny feljeton, będący raczej miarą błyskotliwości umysłu jego autora, aniżeli oceną osobistości marszałka i jego czynów na tle historycznem i etycznem.

Próbki tego feljetonu cytujemy poniżej: „Niskiego wzrostu z włosami na jeża, o ostrem spojrzeniu niebieskich oczu, o kroku energicznym, o gwałtownej, w szorstkie wyrażenia obfitującej mowie, — oto Józef Piłsudski, dzisiejszy rządca Polski. Zaczął jako socjalista, a dzisiaj pogardza tłumem! (?) Lecz tłum go uwielbia, ponieważ pomiata demokratycznemi instytucjami! (?) Gniewa się, gdy go porównują z Mussolinim. „Jestem Piłsudski" — twierdzi, uderzając się ręką po piersiach".

A dalej: „Piłsudski, to romantyczny konspirator. Zapewniał, że niema tak absorbującego sportu, jak konspiracja. Nawet sama walka nie da się z konspiracją porównać. Był socjalistą, ponieważ P. P. S. była przed wojną jedyną partją, która aktywnie Rosję zwalczała. Jest autorem najdemokratyczniejszego systemu rządzenia w Europie, pomimo to obalił go na czele kilku oddanych mu regimentów. Mógł każdej chwili zostać dyktatorem, lecz tego nie uczynił, pomimo że Polska uwielbia silnych ludzi. Przekonany, że większość członków sejmu to złodzieje (dosłownie thiering rogues), konspiracją zderuzował władze sejmu do nicości!"

Według p. Frasera, tajemnicą popularności marszałka jest jego niewątpliwa uczciwość i bezinteresowność, co znaczy więcej w Polsce, aniżeli w innych krajach. „Podczas gdy inni podorabiali się fortun na odradzającej się ojczyźnie, on pozostał ubogim i skromnym w wymaganiach. Wiadomem jest, że jako były Naczelnik Państwa powinien pobierać odpowiednią pensję, posyła ją jednak w całości ubogim studentom w Wilnie! Większą część swego czasu spędza w Sulejówku, gdzie z zamiłowaniem stawia pasjanse i obmyśla... nowe konspiracje i kontr-konspiracje!!!

„Kardynalna cecha jego charakteru, to głęboka miłość dla Polski. Dla niej to cierpiał wygnanie na Syberji i więzienie w Magdeburgu. Jego to patrjotyzm zagrzał Polaków do oporu i zwycięstwa nad bolszewikami w r. 1920".

Na zakończenie dodaje sir John uwagę, że Marszałek do tego stopnia wycisnął piętno swej indywidualności na Polsce, że ta uważa go dzisiaj za jedynego swego zbawcę. „Ma wiarę w swoją gwiazdę. Ludzie, mający z nim częsty kontakt, narzekają na jego szorstkość. Jest przepojony patrjotycznym idealizmem, lecz jest jednocześnie zamknięty w sobie, co utrudnia jego poplecznikom orjentacje. w którym kierunku rzeczywiście dąży. Polacy jednak wiedzą, że Marszałek Piłsudski nie da się nigdy przez nikogo przekupić i to jest prawdopodobnie w oczach jego narodu największą jego zaleta i cnotą, jako męża stanu".

Jak widzimy, jest to charakterystyka dość mieszana. Całość robi wrażenie jakiejś impresjonistycznej wizji człowieka, który w gruncie rzeczy w sprawach Polski wcale się nie orjentuje.

* * *

Wysoce cennemi i na czasie są uwagi specjalnego wysłannika „Times'a" na temat przynależności Wilna. Ukazały się one na łamach tego wielkiego dziennika pod datą 20 i 23 b. m. i raz nazawsze obalają z punktu widzenia bądź to narodowościowego, kulturalnego czy religijnego wszelkie pretensje Litwy.

W artykule z dnia 23 b. m. pisze „Times" na samym wstępie. że „zasadniczą cechą Wilna jest fakt. że ma ono charakter polski (The essential feature of Vilna today is that in character at least it is Polish). Polską jest również okolica do granicy litewskiej, a nawet na szereg kilometrów wgłąb Litwy, obniżając się stopniowo w kierunku Kowna. To samo tyczy się ludności na południe od Wilna, choć spotkać tam można wsie, zamieszkane przez niebardzo zdecydowanych (not very exdisure) Litwinów. Na wschód i na północ ludność jest przeważnie rusińska, mówiąca językiem słowiańskim, leżącym na nienadającej się do definicji granicy między językiem polskim i rosyjskim. Miejscowa statystyka ocenia ją na 60 procent ogólnej ludności na północy, a na 50 procent na południu, choć te cyfry należy przyjmować z zastrzeżeniem".

Ważnym probierzem polskości Wilna jest również charakter jego kultury i wyższego szkolnictwa. „Wiadomem ogólnie było, że do chwili wybuchu konfliktu między Polską a Litwą nie było w Wilnie nigdy więcej nad 2 procent Litwinów, czyli ogółem 5 tysięcy osób, z których najwyżej 10 procent posiadało wyższe wykształcenie, zaś reszta to przeważnie służba domowa i kuchenna, znana zresztą ze swej lojalności i kunsztu w gotowaniu. W chwili obecnej liczą Litwini wileńscy trzech doktorów, ogólnie zresztą poważanych specjalistów, oraz jednego prawnika. Jest jednak ogólnie znanym faktem, że zarobki swe czerpią oni również od polskich klientów, gdyż litewscy są niezbyt liczni".

„Może najciekawszym przykładem jest Uniwersytet wileński, gdzie na 2600 studentów zaledwie 4—5 proc. stanowią białorusini, a litwini jeszcze mniej. Na wydziale medycznym na 240 studentów jest 9 białorusinów i 5-ciu litwinów. Co się zaś tyczy ludności okolicznej, to ta zazwyczaj nie posiada żadnych zdecydowanych predylekcyj politycznych, a zapytywana o opinję, odpowiada zazwyczaj: „tutejszy" lub „katolik" albo „prawosławny!"

Na zakończenie tego słusznego wywodu, „Times" nie widzi powodu, dlaczego te dwa, tyle wspólnych tradycyj posiadające narody, miałyby nazawsze pozostać sobie niechętnemi, przynajmniej jeżeli chodzi o Litwę. Jeżeli porozumienie nastąpi, niezawodnie zyska na tem podupadłe dzisiaj ekonomicznie Wilno, jak również i sama Litwa Kowieńska, znajdująca się między młotem i kowadłem intryg sowiecko-niemieckich. Litwini nie powinni się domagać miasta czysto polskiego, tak samo jak Polska nie ma zamiaru rościć pretensji do Kowna. pomimo, iż posiada ono również pewien odsetek ludności polskiej. Sowiety nie protegują wszak niesłusznych pretensyj Litwy „dla jej pięknych oczu", ale celem rozbijania solidarności państw nadbałtyckich i przygotowania sobie drogi do ich nowego podboju w myśl tradycyj Piotra Wielkiego. Traktat z Litwą stanowi pod tym względem pierwszy i znamienny wyłom. Polsce on nie zaszkodzi, ale zaszkodzi Litwie zarówno pośród jej północnych sąsiadek, jak i w opinii państw zachodnio - europejskich, które lekkomyślnie ignorują. Czas więc, aby jej politycy zrozumieli „signs of the times", i porzuciwszy mrzonki, szukali zbliżenia z Polską. która przyjmie ich zawsze otwartemi rękoma!

* * *

Ogłoszone niedawno sprawozdanie komitetu lorda Balfoura z prac ostatniej imperjalnej konferencji stanowi dla Anglji i Brytyjskiego Imperjum dokument epokowego znaczenia. Aczkolwiek nie jest on formalnie spisaną konstytucją, która ma obowiązywać na następne cztery lata wszystkich członków tego imperjum. to jednak technicznie nią jest, bowiem nietylko potwierdza na piśmie stan rzeczy czy ewolucji, jakiej uległo imperium od czasu ukończenia wojny, lecz formułuje pewne prawa i obowiązki wzajemne tych członków, wiążące na przyszłość.

Kardynalnemi punktami tego dokumentu są: 1) ugruntowanie Brytyjskiej Republiki Państw (British Commonwealth of Nations), z wyjątkiem Indyj i Egiptu, na zasadzie równości i politycznej niezależności poszczególnych dominjów względem siebie, oraz przedewszystkiem względem Anglji. 2) emancypacja tych dominjów w zakresie prowadzenia własnej polityki zagranicznej i konsekwencyj z tem związanych. 3) jedynym łącznikiem między niemi będzie odtąd rezydujący w Anglji król angielski, ergo Unja Personalna. Ze strony praktycznej rzecz biorąc, imperium jako takie (w sensie nadzoru Anglji nad dominjami) przestało z dniem ogłoszenia tego dokumentu istnieć, powstał natomiast związek wolnych brytyjskich narodów, połączonych nominalnie osobą króla angielskiego, reprezentowanego w każdem dominjum przez swego bezpośredniego zastępcę. Temsamem również parlament w Westminsterze przestał być parlamentem imperjalnym, czyli teoretycznie mającym prawo wglądu w sprawy zamorskich dominjów, a stał się jedynie i wyłącznie parlamentem angielskim, obejmującym Anglję, Szkocję i Walję. Nawet tytuł „Zjednoczone Królestwo" został zniesiony, ponieważ Irlandja została uznana jako suwerenne państwo, związane jedynie z Anglją traktatem pokoju z r. 1922 oraz obecną Unja Personalną.

Mamy więc do czynienia z faktem historycznym przełomowego znaczenia. Odtąd Anglja będzie prowadzić swą politykę zagraniczną bez prawa opierania się lub liczenia na pomoc dominjów, co już zresztą miało miejsce w kwestji Czanaku oraz w związku z ratyfikacją umów locarneńskich, co jej stanowisko i wpływy międzynarodowe bardzo poważnie ogranicza. To samo dotyczy rzeczonych dominjów, ponieważ posiadły one prawo zawierania traktatów z obcemi państwami oraz mianowania własnych dyplomatycznych reprezentacyj zagranicą.

Jak ten nowy system będzie pracować — przyszłość, a właściwie nowy międzynarodowy kryzys wykaże. Trzeba pamiętać jednak, że zarówno Kanada jak i Australja coraz więcej wchodzą w orbitę ekonomicznych interesów Stanów Zjednoczonych, temsamem potęgując już i tak zaakcentowany ruch odśrodkowy. W Indjach i Egipcie nadal trwa ferment emancypacyjny. Sama Anglja traci powoli swą ekonomiczną i finansową supremację na rzecz swej zaoceanowej kuzynki, zaś problem przeludnienia, prze-przemysłowienia i bezrobocia coraz więcej jej sytuację wewnętrzną komplikuje. tak, iż należy przypuszczać, że zapoczątkowany obecnie prąd decentralizacyjny może z biegiem czasu doprowadzić do rozwiązania największego dotąd państwa od czasów rzymskich.

Stefan Kleczkowski.

CO SIĘ DZIEJE WE FRANCJI?

(Od własnego korespondenta „Prawdy").

Paryż, 4 grudnia.

Frank podnosi się dalej. Dziś, na giełdzie paryskiej, dolar „spadł" poniżej 25, a funt sterlingów kosztuje tylko 120 franków, czyli połowę tego, co się zań płaciło w końcu lipca r. b., kiedy gabinet p. Poincaré'go obejmował władzę.

Ciągła zwyżka kursu franka — spowodowana głównie przywróceniem zaufania, a częściowo przez spekulację banków niemieckich, holenderskich i angielskich na strunie zaufania inteligentnie grających — ta zwyżka, powtarzamy, wywołała gruntowną zmianę w psychologji francuskich rentjerów, którzy w tym kraju rozdrobnionej fortuny nadają niemal ton opinji publicznej.

Wiosną i latem b. r. zaufania nie było. Frank spadał. Rentjerzy „uciekali" przed frankiem, sprzedawali swoją rentę państwową i akcje kolejowe, a kupowali akcje „Royal Dutch" (nafta) lub „Rio Tinto" (hiszpańska miedź). Kiedy gabinet Briand-Péret powołał do życia Komitet Ekspertów, powierzając im misję opracowania planu sanacji finansów francuskich, zarówno rząd jak i eksperci zdawali sobie doskonale sprawę, że trzeba przedewszystkiem zatrzymać szerzącą się panikę, przywrócić zaufanie i nadać frankowi tendencję zwyżkową, aby go zaraz potem stabilizować.

Nie mając żadnego wpływu na politykę i nie mogąc nakazać Izbie wyłonienie gabinetu jedności narodowej, eksperci uznali za konieczne opracować obszerny plan techniczny, który — nie przewidując zbyt ciężkich poświęceń — za podstawę odbudowy zaufania mógłby posłużyć. Zalecili więc eksperci jednomyślnie i z mocą stabilizację franka przy pomocy kredytów zagranicznych, oraz ratyfikacji układów Bérenger-Mellon i Caillaux-Churchill (jako warunku uzyskania owych kredytów).

Walka stabilizatorów z rewaloryzatorami trwa we Francji oddawna, ale w lipcu zwolennicy szybkiej stabilizacji byli bezsprzecznie górą. Tymczasem zaszedł wypadek, którego eksperci przewidywać nie mogli: drugi gabinet Herriota został przez izbę obalony przy pierwszem z nią spotkaniu, a jego miejsce zajął gabinet koalicyjny p. Poincare'go. Zaufanie zostało przywrócone nie przez plan techniczny, ale przez nastrój polityczny. Frank zaczął się podnosić. Obóz rewaloryzatorów odzyskał pewność siebie. Cóż to za obóz? Przedewszystkiem rentjerzy.

W lipcu rentjer francuski zgodził się na stabilizację, aby uratować jedną siódmą swego przedwojennego stanu posiadania. Dziś piorunuje przeciwko tym, którzy zalecają naruszenie „świętości" zobowiązań państwowych, organizowanie „prawnego bankructwa" i t. p. Trzyma już rentjer w kieszeni dwie siódme swego kapitału w złocie i bije się o następne siódme. Jest zwolennikiem rewaloryzacji. Na całokształt problemu nie zważa.

Cedula giełdowa zdaje się mu dawać rację. Funt „spadł" z 250 na 120, dlaczego ma nie „spadać" dalej? Pokpiwa sobie nawet rentjer ze wszelkich ekspertów i specjalistów, którzy tak poważnej zwyżki franka przewidzieć nie byli w stanie.

* * *

Eksperci wcale się temi drwinami nie przejmują. Przeciwnie: z politowaniem na rewaloryzatorów patrzą. Rozmawialiśmy z jednym z nich, mianowicie z profesorem **Gastonem Jèze'm.** Jest on zaniepokojony szybką zwyżką franka. Obawia się jej skutków gospodarczych. Jest w dalszym ciągu zwolennikiem natychmiastowej stabilizacji.

Podobnej opinji bronił w rozmowie z nami pos. **Franciszek Piétri,** b. podsekretarz stanu w ministerstwie finansów, jeden z najlepszych znawców finansów publicznych w izbie francuskiej.

Pos. **Jerzy Bonnet,** b. minister finansów w gabinecie p. Painlevé'go, oświadczył nam, że stabilizację uważa za nieodzowną, ale nie widzi jak można do niej doprowadzić bez przymusowej konsolidacji choćby części długu „wiszącego", wynoszącego 50 miljardów franków.

Pan Bonnet jest radykałem. Otóż podobną opinję słyszeliśmy z ust senatora **François-Marsal'a,** b. ministra finansów w gabinecie p. Millerand'a. Pan Marsal powiedział nam, że choć wraz z olbrzymią większością francuzów cieszy się ze zwyżki franka, to przecież tempo zwyżki go niepokoi. I on jest raczej za stabilizacją oraz za konsolidacją długu „wiszącego". Z posłem Bonnet'em różni się tem, że zamiast przymusu chce wykorzystać odpowiednio monopol tytoniowy.

— Dziś, mówił nam, monopol jest przedsiębiorstwem państwowem, czyli pracuje nieekonomicznie. Pomimo to daje 3 i pół miljarda franków dochodu rocznie, co idzie na amortyzację długu „wiszącego". Jestem przekonany, że gdyby monopol ten zamieniono w przedsiębiorstwo przemysłowe (pod kontrolą państwa) zyski zwiększyłyby się znacznie, a posiadacze „bonów" krótkoterminowych chętnieby je wymienili na obligacje przedsiębiorstwa tytoniowego...

Wielki przemysł niepokoi się również zwyżką franka. P. **Zambert-Ribot,** sekretarz generalny francuskiego „Comité des Forges", mówił nam przed kilku dniami, że np. przemysł automobilowy już skutki zwyżki odczuwa, albowiem zamówienia zagranicy ogromnie zmalały.

Kupcy paryscy, krawcy, restauratorzy, hotelarze, fryzjerzy itp. uskarżają się już na zmniejszenie obrotów. Coprawda, ta kategorja świata gospodarczego jest najbardziej przez inflację zdemoralizowana. Restaurator paryski amortyzuje dziś swój kapitał zakładowy w ciągu roku, a robi fortunę w 3 lata. Przed wojną trzeba było pięciu lat na amortyzację i piętnastu na wzbogacenie się.

W każdym razie zwyżka franka — o ile będzie trwała — spowoduje niechybnie ciężki kryzys gospodarzy. Wysoka osobistość z **Banque de France** mówiła nam przedwczoraj:

— Stabilizacja franka na poziomie 120 za funt oznacza natychmiastowy kryzys gospodarczy. Najmniej zaburzeń w naszem życiu ekonomicznem wywołałaby stabilizacja na poziomie 150...

* * *

Z powyższej ankiety — najzupełniej autentycznej — wynika, że jeśli **masa rentjerów** francuskich jest dziś za rewaloryzacją, to **elita rzeczoznawców** jest za stabilizacją.

A dokąd idzie p. **Poincaré?** Czy jest stabilizatorem, czy rewaloryzatorem?

Z jego bardzo ostrożnych enuncjacyj dotychczasowych wynika, że dźwignąć franka do poziomu złota nie myśli. Byłaby to oczywiście chimera. Probuje natomiast wydźwignąć go jak najwyżej (na 100 za funt?) i wówczas stabilizować przy pomocy zapasu dewiz, nagromadzonych w okresie zwyżki franka.

Aby operacja ta się udała — muszą spaść ceny. Frank się już podniósł o 50 proc., ale ceny o tyle nie spadły. Bardzo im do tego daleko. Wczoraj powiedział w izbie p. Poincaré, że zniżka jest ogólna, albowiem od 1-go listopada do pierwszego grudnia wskaźnik cen hurt. spadł z 780 na 720, a wskaźnik cen detalicznych z 636 na 624. To jeszcze bardzo mało. W kawiarni, w restauracji, w taksometrze, w autobusie czy kinie zniżki niema żadnej.

P. Poincaré dokonał wspaniałego wysiłku. Budżet na rok 1927 będzie napewno przed 1-ym stycznia uchwalony. Ale budżet, nawet zrównoważony i uchwalony na czas, nie jest głównym warunkiem sanacji i równowagi finansów francuskich.

Kazimierz Smogorzewski.

Rynek pieniężny i giełda

Bilans Banku Polskiego za ostatnią dekadę listopada rb. wykazał wzrost zapasu kruszcu, t. j. złota i srebra o 43,785 złotych do sumy 135,998,873 złotych. Zapas walut i dewiz zwiększył się o 4,570,690 zł. brutto do kwoty 137,596,459 złotych. W ten sposób wzrósł zapas walut i dewiz instytucji emisyjnej w przeciągu m-ca listopada o blisko 25,000,000 złotych, tak, że pomimo licznych płatności zagranicznych pokrycie obiegu banknotów w kruszcu i walutach osiągnęło wysoki stosunek 45,44 proc. Różnica na kruszcu i walutach obliczonych po kursie parytetowym wzrosła o 662 tys. złotych. Zaliczki reportowe zwiększyły się o 3,6 milj. złotych, zobowiązania na rachunkach w walucie zagranicznej i reportowe o 3,8 milj. złotych. Salda na rachunkach żyrowych i innych zmniejszyły się o 48,8 milj. złotych.

Portfel wekslowy zmniejszył się o 1,8 miljonów złotych do 306,460,126 zł. a obieg biletów bankowych zwiększył się o 29,208,020 zł. do 557,911,260 zł. Równocześnie wzrósł stan monet srebrnych i bilonu o 2,9 milj. zł. do 26,626,895 zł.

Sytuacja finansowa Skarbu Państwa osiągnęła w listopadzie poważną poprawę. Dług Skarbu w Banku Polskim zmniejszył się z 50 na 25 milj. złotych, pozatem posiadał Skarb Państwa w dniu 30 listopada na rachunkach żyrowych w Banku Polskim i P. K. O. kwotę 56 milj. złotych jako żelazną rezerwę kasową.

Mennica państwowa wybiła już 160,000 sztuk monet złotych po 10 i 20 złotych.

Monety te nie będą narazie puszczane w obieg, można je jednak nabywać w mennicy według kursu złota lub za waluty obce. Kurs jednego złotego w złocie wynosi 1,736.

* * *

Obrót dzienny na giełdzie walut wynosił w okresie sprawozdawczym przeciętnie 375—400 tys. dolarów, zwiększył się więc w porównaniu z tygodniem poprzednim bardzo poważnie. Całe zapotrzebowanie pokrywał bez jakichkolwiek ograniczeń Bank Polski przy małym udziale banków prywatnych. Dewizy na New-Jork (czeki i wpłaty) utrzymały się na poziomie 9 zł. — gotówkę notowano 8,98, kabel zaś (wpłatę telegraficzną) na New-Jork w obrotach międzybankowych 9,01 i pół — 9,02 i ćwierć, przyczem przy zamianie dolarów w gotówce na kabel dopłacano 2 i pół pro mille.

Z dewiz europejskich wykazał bardzo poważne wahania Paryż, który osiągnął przejściowo wysoki kurs 36,28 za 100 franków i spadł w końcu na 35,35. Frank francuski uzyskał więc wskutek gry spekulacyjnej — umotywowanej częściową poprawą sytuacji skarbowo - finansowej Francji, w przeciągu miesiąca przeszło dwudziestocztero-procentową zwyżkę. Dewiza na Medjolan podniosła się na 39,25, Londyn na 43,70, inne waluty naogół większych zmian nie ujawniły. Gram czystego złota notowano 5,9816, 100 złotych w złocie 173,66.

Na rynku prywatnym panowała początkowo dla dolara tendencja słaba, później jednak nastąpiło pewne wzmocnienie, spowodowane zwiększeniem się zapotrzebowania.

Za gotówkę amerykańską płacono 8,98 i pół — 8,99 — 9 złotych. Równocześnie z dolarem podniosły się ruble złote, za które żądano 4,76 — co przy parytecie 52,90, odpowiada stosunkowi 9 złotych za jeden dolar.

Złoty utrzymywał się na giełdach zagranicznych na mocnym stabilizowanym poziomie. Obroty złotym i dewizą na Warszawę zarówno w Londynie jako też w Zurychu, Wiedniu i Berlinie wskutek osłabienia się ruchu towarowego z Polską nieco się zmniejszyły.

* * *

Sytuacja na rynku akcyjnym większym zmianom nie uległa. Obroty były średnie — zainteresowanie małe. Kursy akcyj po większej części jeszcze bardziej się osłabiły. Wyjątek stanowią akcje Banku Dyskontowego, które uzyskały wysoki kurs 10 złotych, oraz Ostrowieckie, które podniosły się przejściowo dzięki poważnym zakupom, dokonywanym na zlecenie jednego z większych koncernów belgijskich, na przeszło 8 złotych. Sfery giełdowe sądzą, że akcje metalurgiczne przyciągają wogóle uwagę zagranicy — która po objeciu większości portfelu zakładów Ostrowieckich — do czego konsekwentnie zmierza — zacznie nabywać akcje innych towarzystw.

Akcje Banku Polskiego były słabsze i mniej ruchliwe. Pożyczki państwowe bardzo mocne i poszukiwane, listy zastawne i obligacje niejednolite.

* * *

Dłuższy okres stabilizacji złotego wpłynął naogół korzystnie na poprawę stosunków kredytowych i ukształtowanie się stopy procentowej w dyskoncie prywatnem. Ostatnie jednak bankructwa firm włókienniczych spowodowały pewną niechęć dyskonterów do przyjmowania średniego materjału wekslowego, wobec czego powstała lekka ciasnota gotówkowa. Za dyskonto pierwszorzędnych weksli w dolarach żądano do 2 proc., w złotych natomiast do 2¾ proc., a to wskutek obawy, że nasz bilans handlowy może być w najbliższych miesiącach passywny i waluta się zachwieje. Stopa procentowa za materjał drugorzędny dochodziła czasami do 4 proc. w stosunku miesięcznym.

Dnia 2 stycznia 1927 roku wejdzie w życie nowe rozporządzenie o lichwie pieniężnej, które postanawia, że korzyści majątkowe osiągane przy czynnościach kredytowych nie mogą przekraczać 15 proc. w stosunku rocznym, nie licząc kosztów porta, opłat stemplowych, prowizji obrotowej — które jednak nie mogą przekraczać jednej czwartej proc. kwartalnie.

Sytuacja w bankach prywatnych, posiadających własne kapitały i dobrą, solidną klientelę z każdym dniem się poprawia. Wkłady bowiem publiczności pomimo niskiego oprocentowania wzrastają a zarówno Bank Polski, jako też Bank Gospodarstwa Krajowego powiększają im kredyt. Pozwala to wspomnianym instytucjom prywatnym na stosowanie bardzo liberalnej i rozległej polityki kredytowej. Za dyskonto weksli pobierają banki obecnie maximum 16 proc., od 2 stycznia 1927 r. pobierać będą natomiast tylko 15 proc.

W myśl ostatniego komunikatu Ministerstwa Skarbu, o którym napiszemy obszerniej w jednym z następnych numerów „Prawdy“, ulegnie szereg banków, nie mogących się wykazać większą żywotnością, przymusowej likwidacji.

Wwiększym znacznie stopniu, aniżeli w solidnych bankach prywatnych, wzrastają wkłady oszczędnościowe w P. K. O. i Banku Gospodarstwa Krajowego. Liczba książeczek oszczędnościowych w P. K. O. wynosiła na 1 listopada 105,718, a na 1 grudnia b. r. 109,683. Suma oszczędności wzrosła w październiku b. r. o 221, 901, w listopadzie o 899,095 złotych. Po świętach spodziewany jest jeszcze bardziej poważny ruch oszczędnościowy.

Dzięki zwiększeniu się wkładów, podwyższyła Pocztowa Kasa Oszczedności kontyngent kredytów lombardowych do wysokości 10 miljonów złotych. Pożyczki z funduszu tego wydawane są pod zastaw akcyj Banku Polskiego, papierów państwowych i komunalnych na warunkach 12 proc. w stosunku rocznym dla akcyj Banku Polskiego i 14 proc. dla innych papierów wartościowych.

W październiku wpłaty na konta czekowe w P. K. O. wynosiły 511,740,800 złotych, wypłaty zaś 515,901,062 złote. W ten sposób więc cały obrót czekowy wynosił 1,027,641,862 zł. przy ogólnym obiegu pieniężnym 1,045,000,000 zł. na 31 października. Wpłaty bezgotówkowe wynosiły 227,222,780 złotych, a wypłaty 348,920,828 złotych. Razem obrót bezgotówkowy wynosił 576,143,608 złotych, czyli 56 proc. całego obiegu pieniężnego.

Awil.

Z teatrów warszawskich

Wybrał się Mister William B. Burbanks, zblazowany miljarder amerykański, ze swemi 10 sekretarkami w podróż do egzotycznej Polski i zapełnił swemi przygodami — nową rewję w „Perskiem Oku“ p. t. „Na całego“. Na dworcu warszawskim wita go nieodzowny prezes Gadaliński (Boroński), świetna karykatura dobrze znanej osobistości. Poczem wystąpił Imć Pan Kłajewicz, droguerzysta z Kołomyi (Ławiński), malując lodomeryjskim stylem swe wrażenia warszawskie. Wszystko to nie zdołało pozbawić Amerykanina (Bodo) dobrego humoru, który znalazł ujście w charlestonie „Black-Bottom“, pięknie odtańczonym wespół z doskonałą L. Halamą. Dzięki metodzie Berlitza porozumiał się p. Bodo z p. Zulą Pogorzelską w osobie uroczej artystki warszawskiej Ady, u której wynajmuje sobie mieszkanie: metoda okazuje się skuteczna, gdyż umowę zawiera pani Ada... na kolanach Amerykanina.

W drugiej części rewji, obok rzeczy mniej udałych, jak „Inspekcja napowietrzna“ (satyra na pewnego ministra), znajdujemy wprost doskonałe, przedewszystkiem „Kinozmory“: „nadeptkę kinową“, opowiadająca swe wrażenia z filmu „Pręgowata“ przez usta Pogorzelskiej (nieprześcignionej w tego rodzaju groteskach), — i „Pata i Patachona“ w wykonaniu sióstr Halama, które są prawdziwewi ozdobami tego teatrzyku. Rentgen bawi słuchaczy nowemi świetnemi piosenkami, a Boroński i Ławiński dają zabawny djalog między p. Gurkensosem a jego przygodnym znajomym, który nie chce wyjawić swego — zapewne równie dźwięcznie brzmiącego — miana. Wreszcie naostatek — Łazienki warszawskie w zimie, ożywione postaciami Bałwana (Boroński) i urodziwych Bałwaniątek (Koszutsky-Girls). Program byłby jeszcze lepszy, gdyby usunięto z niego nieudałe skecze, które stanowią istną piętę achillesową tego sympatycznego teatrzyku.

I. W.

FILM

Filmy „wystawowe“ — Maë Murray. — Żywa bajka. — Zatajone ojcostwo.

W krótkich odstępach czasu ukazały się po sobie trzy filmy, których jedynem dążeniem jest: olśnić widza. Są to: „Ostatnie dni Pompei“, „Władczyni Libanu“ oraz „Dziewczyna czy Naszyjnik“.

Gorąco reklamowany obraz włoskiej produkcji „Ostatnie dni Pompei“ rozczarował kinomanów. Przewlekła, nużąca akcja, potworna ilość napisów, wreszcie dość szablonowa gra artystów (poza M. Varkonyi'm i Marją Korda) — oto minusy tego filmu. Scena końcowa, która miała być „pointą“ filmu, która miała podkreślić jego monumentalność, wypadła blado i nieprzekonywująco.

Czyż te mizerne budynki, oparte na kilku słupach, mają dać złudzenie owych masywnych, potężnych budowli starożytnej Pompei?

Widz, patrząc na nie, wie zgóry, że muszą runąć. Brakło reżyserji i twórczej inwencji.

CHARLESTON - BLUES - BOSTON

Tetrycy, śledziennicy i wszelkiego autoramentu pesymiści głoszą od kilku tysięcy lat, że ludzkość starzeje się, degeneruje, nikczemnieje. Od czasu do czasu pojawiają się tacy głosiciele, którzy spędziwszy pół życia w pracowniach naukowych, odurzeni wyziewami chemikaljów, oszołomieni liczbami statystycznych elaboratorów, napoły oślepli i ogłuchli od ascezy i wiedzy — wołają kraczączym głosem, że tylko patrzeć, a na świat będą przychodzić ślepe niemowlęta, albo niemowlęta w binoklach, niemowlęta bez nóg, lecz za to odrazu umiejące kierować samochodem czy samolotem, niemowlęta z gotową, wstawioną szczęką (nie będzie więc ząbkowania!) i t. p. uproszczone stworzenia, przystosowane do obecnych warunków życia.

I, gdyby nie ta doskonała zasada, że „nemo propheta in patria sua“, musiałaby chyba ludzkość już dawno oszaleć z powodu owych rozpaczliwych horoskopów, stawianych bodaj jeszcze przez magów chaldejskich za czasów błogosławionej pamięci Hamurabiego, który, jak wiadomo, dość rozrzutnie szafował oczyma, zębami i innemi częściami składowemi ciała ludzkiego.

Jeżeli jednak szybkim rzutem zdrowego (a tak!) oka obejmiemy całokształt ewolucji biologicznej od Heraklesa do Garkowienki, od Wenus Milońskiej do Smosarskiej, pojmiemy odrazu, że sytuacja cielesna ludzkości, przynajmniej w tej chwili, przedstawia się wcale nieźle i że Nurmi lub Konopacka mogliby z łatwością otrzymać na greckich igrzyskach olimpijskich czy istmijskich wieniec laurowy i oliwny, że posąg ich stanąłby w świętym gaju Zeusa, a gawiedź na agorá witałaby ich entuzjastycznemi krzykami.

Stąd wniosek, że nieprawdą jest jakobyśmy nikczemnieli i marnieli. Przeciwnie, rozwijamy się znakomicie, przyczem zaznaczyć należy, że szczególną pieczołowitością sportową cieszą się nogi, w których — rzec można — umiejscowił się genjusz współczesnego człowieka. Genjusz jest bowiem substancją ruchomą, wędrowną, obierającą sobie coraz to inne siedlisko w ciele ludzkiem. Uczeni twierdzą zresztą, że gdy genjalność mieszka w głowie, nastaje dla ludzkości okres smutny, pełen katastrof, rewolucyj, rozwoju kultury umysłowej, systemów filozoficznych itp. nieszczęść. Gdy jednak genjusz osiedli się w łydce, w palcach u nóg, a zwłaszcza w pięcie, nastaje epoka radosna, footbalowa, szybkobieżna, a przedewszystkiem dancingowa.

Nie trudno zrozumieć, że to my właśnie żyjemy w tym szczęśliwym okresie, w którym głowa odgrywa rolę podrzędną, gdyż jej dotychczasowy lokator genjusz wyprowadził się na parter. Stwierdziwszy ten radosny fakt, nie będziemy się już dziwili, dlaczego pusto jest w teatrach, księgarniach, salach wystawowych, a za to pełno wesołych ludzi na meczach i w salach dancingowych. Nie pomoże tu żadna racja zrodzona w głowie, bo genjusz z pięty wszystko obali jednem kopnięciem, jednem pas bluesowem, jednym charlestonowym podrygiem.

Niema na to nijakiej rady i trzeba, zaniechawszy bezowocnej opozycji, pójść za głosem chwili, a w ślady genjalnych stóp, wiodących do sali dancingowej.

Jazz-band? Nie, niema już murzyńskiego klekotu, tupotu, wycia i trąbienia. Bo może nie wszyscy wiedzą, że na ostatnim kongresie dancingowym w Paryżu, amerykański Ku-Kux-Klan przeprowadził uchwałę wrogą murzyńskim jazz-bandom. Zwłaszcza jasnowłose narody poparły wniosek Ku-Kux-Klanu w obawie przed popsuciem swojej rasy tak wywyższanej nad inne przez pana Gobineau. Die blonde Bestie zamieniała się już bowiem powoli w tygrysa znaczonego w blond i czarne pręgi. Hasło: precz z murzynami! poszło więc po całym świecie, nie ominąwszy oczywiście także i Polski. I dziś w naszych dancingach siedzą przy pulpitach conajwyżej domorośli kędzierzawi bruneci, którzy potrafią to samo wyczyniać, co Afrykańcy nowojorscy. Łypią więc oczyma w stronę dam, beczą refreny jak kozy, pokrzykują jurnie, przytupują siarczyście. Naprawdę więc niema prawie różnicy między murzynem z Nalewek a murzynem z Kongo, a jest ta korzyść, że rasa jasna nie ucierpi tak wiele, tembardziej, że czuwa nad tem „Rozwój“ i zresztą wszystkie rasy europejskie przyzwyczaiły się już cośkolwiek do tych cierpień, znosząc je z mniejszą lub większą niecierpliwością.

Co to jest dancing, wie dobrze każdy obywatel. Chcę więc tylko dać skrót plastyczno-nastrojowy.

Stoliki, przybrukane obrusy, drożyzna, zapach podejrzanych tłuszczów, oryginalnych serów, Mitsouko, tytoniu monopolowego. Przy stolikach tak zwana publiczność. Po głowach trudno rozróżnić płeć. A po dekolcie choćby i najgłębszym także odrazu nie poznasz. Najlepiej orientować się po klejnotach, bo mężczyźni nie noszą jeszcze kolczyków, a kobiety noszą długie sznury fałszywych pereł. Gdy publiczność tańczy, sprawa rozpoznawania jest nieco ułatwiona. Wystarczy wtedy patrzeć na nogi. Ale i tu potrzebna jest niejaka wprawa, bo gdy się patrzy na tańczącą parę, nie odrazu się wie, do kogo która noga należy. Nie zdaje mi się jednak, żeby to było aż tak ważne i konieczne. Wystarczy, że jest para, posiadająca cztery sprawne dolne kończyny.

Koniecznym natomiast warunkiem dancingu jest istnienie jednego metra kwadratowego wolnej i nieprzymuszonej przestrzeni. Według ostatnich obliczeń statystycznych na takim kwadracie może tańczyć sto pięćdziesiąt par, czyli trzysta ludzi i sześćset par nóg. A wszystko w ruchu: naprzód - wstecz, lub w lokalnych podrygach charlestonowych. Karambole wywołują conajwyżej katastrofy nagniotkowe, a więc rzadko kiedy śmiertelne. Niebezpieczeństwa niema więc zbytniego na sali dancingowej, może być natomiast wątpliwa przyjemność.

Tańce: tango, fox-trott, blues i boston — tańczy się na sali dancingowej tak samo. To znaczy — danserka opiera się mocno o dekę piersiową tancerza i wyczuwa przez cienką suknię wszystkie guziki jego kamizelki, zegarek, cygarniczkę i pióro amerykańskie. Czasem także watę. Tancerz nie wyczuwa nic, bo dzisiejsza kobieta nie nosi gorsetu. W tańcu nie wolno rozmawiać, raz dlatego, że niema o czem, a powtóre, że można zgubić takt. Nie jest wskazane, by partner lub partnerka stali się wskutek rozmowy nietaktowni, przeciwnie należy zawsze pamiętać o względach taktycznych, praktycznych i faktycznych.

NIE PRZESADZAJMY

w puryźmie językowym

Jest rzeczą ogólnie wiadomą, że język polski wchłonął zdawien dawna moc obcych wyrazów, stanowiących niemały odsetek w naszem słownictwie. Wpływ czeski w pierwszych czasach chrześcijaństwa w Polsce, niemiecki w okresie kolonizacji miast, łaciński w epoce Humanizmu i Renesansu, francuski w pseudoklasycznej dobie Stanisława Augusta, wreszcie najazd grecko-łacińskiego sło wnictwa naukowego w zeszłem stuleciu, które było „wiekiem odkryć", — wszystko to pozbawiło polszczyznę jej rdzennej czystości i zaludniło ją wielką ilością obcych wyrazów, z których niejeden (np. „sołtys", „gleba" czy „fura") przestał już dawno czynić wrażenie niepolskiego.

Nic więc dziwnego, że wywołało to naturalną reakcję w kierunku oczyszczenia polsz czyzny z obcych naleciałości. Ruch ten, t. zw. puryzm, przejawił się zresztą dosyć wcześnie, bo zaczątki jego można dostrzec już w łacińskiem dziele Konarskiego „O konieczności naprawy błędów wymowy", w którem wielki reformator zwalczał m. in. makaronizm, t. j. dziwaczne przeplatanie polszczyzny wyrażeniami łacińskiemi. W wieku zaś następnym, w dobie romantyzmu, Trentowski usiłował spolszczyć terminologję filozoficz.-naukową. Obecnie jest puryzm — przynajmniej w teorji — prądem powszechnym. Zapanował przedewszystkiem w szkole, hołduje mu wielu pisarzy i publicystów, znalazł nawet apostołów, którzy specjalnie go propagują.

Wobec istotnie przerażającego zachwaszczenia naszego języka obcemi naleciałościami, wobec niedbalstwa językowego części prasy i stosowania jakiegoś pseudo-polskiego narzecza w niektórych urzędach państwowych, zwłaszcza zaś wobec nieinteligentnego snobizmu szerokich sfer naszej inteligencji, sadzącej się na niepotrzebne zastępowanie wyrażeń polskich cudzoziemskiemi, — jest puryzm ruchem zdrowym i pożytecznym. Ale pod warunkiem, że zakreśli mu się właściwe granice.

Należy zawsze pamiętać, że ostatecznie język nie jest sam w sobie celem, lecz środkiem, narzędziem do wyrażania myśli. A narzędzie winno być nietylko piękne i czyste, ale i pożyteczne, przystosowane do celu, któremu służy. Powinniśmy mówić piękną i czystą polszczyzną i unikać obcych wyrażeń, ale tak, by jaknajdokładniej wyrazić swą myśl.

Wobec tego, zastępować cudzoziemskie z pochodzenia wyrazy polskiemi wolno tylko wtedy, gdy myśl na tem nie cierpi. Jeżeli zaś wskutek tego zmienia się choć trochę odcień znaczenia wyrazów, polszczenie ich za wszelką cenę jest absurdem. Cel nie może podporządkowywać się środkowi. Wówczas bowiem źle pojęty puryzm staje się szkodliwem manjactwem.

Można i trzeba wyraz „audjencja" zastąpić przez „posłuchanie", a „zrealizować" przez „urzeczywistnić". Ale niech mi kto znajdzie dokładny odpowiednik do „ambicji" — bez naciągania znaczenia.

Trudno, musimy się z tem pogodzić, że są pojęcia, których w rdzennej polszczyźnie wyrazić niepodobna. Zresztą niema powodu zbytnio się tem martwić. Przecież język tak stary, wycyzelowany i subtelny, jak francuszczyzna, nie posiada wyrazu, odpowiadającego pojęciu tak zasadniczemu, jak tęsknota, zaś Niemiec nie może wyrazić w swej mowie nawet pojęcia brzydoty! A skoro tak, to lepiej tolerować pewne wyrazy obcego pochodzenia, na które niema dokładnych odpowiedników w języku ojczystym, niż ubożyć myśl.

Niedawno wyszła książeczka p. t. „2000 błędów językowych" p. Jana Tadeusza Wróblewskiego, która jest typowym przykładem fałszywego puryzmu językowego. Ażeby zastąpić wyrazy obce polskiemi, p. W. bardzo często zniekształca reprezentowane przez nie pojęcia. Czy istotnie przypuszcza on, że wyrazowi „ambicja" odpowiadają wyrazy „godność", „duma", „pycha"? W takim razie nie rozumie zupełnie treści pojęcia ambicji. „Tłumaczenie" słowa „eskapada" przez „wybryk, swawola" jest prawdziwym wybrykiem językowym. Inne przykłady: gest = poruszenie, znak, skinienie; firanka = zasłonka; haftować = wyszywać; bandaż = powijak (p. W. widział zapewne dziecko w powijakach i zdawało mu się, że jest ranne...); biuro handlowe = izba kupiecka; kasjer = skarbnik; ubikacja = pomieszczenie i t. d.

Kiedyindziej tworzy p. W. dziwaczne neologizmy, jak strzeliwo (amunicja), zieleniec (skwer), członkownictwo, rozczłonkownictwo (anatomja) i t. d. „Windę" tłómaczy nietylko przez „dźwig", ale i przez „dźwignik", a nawet „dźwignię", co chyba znaczy zupełnie co innego. Podobnie nie rozumie on znaczenia wyrazu „deformacja", który „polszczy" przez „przekształcenie" (zamiast „zniekształcenie"). Niekiedy ucieka się nawet do dziwacznych i nieuzasadnionych nowotworów w wypadkach, gdzie język polski posiada doskonałe odpowiedniki: „bigoterję„ oddaje przez jakieś „modlarstwo", zapominając o wyrazie „świętoszkostwo". Wyklina nawet „korkociąg", bo to wyraz utworzony jakoby na modłę niemieckiego „Korkenzieher", a zaleca tak arcypolskie wyrazy, jak „trybuszon" lub „grajcarek".

Książeczka p. Wróblewskiego jest tedy wymownym przykładem, jak nie należy pojmować czystości języka i na jakie bezdroża sprowadza źle pojęty puryzm. Najgorszym bowiem wrogiem prawdziwego puryzmu jest radykalizm w uwalnianiu polszczyzny od obcych wyrazeń. Usuńmy tylko te, które się dadzą usunąć bez narażenia na szwank myśli i bez wprowadzenia dziwacznych nowotworów, a osiągniemy już bardzo wiele.

D. Ignacy Wieniewski.

Teatr Miejski w Łodzi

„GDYBYM CHCIAŁA"

Komedja Geraldy'ego i Spitzera.

Poetę i liryka Geraldy'ego zainteresował problem procesu psychicznego kobiety bezwzględnie czystej i uczciwej, w której czysto cerebralnie powstaje wątpliwość, czy jest uczciwą dlatego, że taką jest naprawdę, czy też może tylko dlatego, że brak pewnych cech urody chroni ją przed atakami mężczyzn. Niema kobiety, tak mało próżnej, by nie pragnęła rozwiązania tej wątpliwości, choć daleką być może zupełnie od chęci praktycznego rozwiązania jej na przykładzie: wystarczy jej pewność, że „mogłaby, gdyby chciała", zwłaszcza, gdy myśl powstała w niej naskutek rozmowy z przyjaciółką, która nie chciała jej cnotliwego żywota uznać za dostateczny argument przeciw swemu własnemu wesołemu trybowi życia, nieskrępowanemu zbyt surowym regulaminem obyczajowym.

Na tej koncepcji osnuł poeta francuski nader miłą i wytworną komedję, której wykonanie na naszej scenie uważać jednak należy za oparte na nieporozumieniu. Być bardzo może, że winy nie ponosi reżyser sam, lecz w tym wypadku dzieli ją w pewnym stopniu z tłumaczem, a może i z pewną twardością naszego języka, niezawsze nadającego się do oddawania subtelnych odcieni elastycznej i miękkiej francuszczyzny — dość, że to, co nam pokazano w Łodzi, w poszczególnych momentach silnie zbliżało się do farsy, podczas gdy oryginał jest owianą pewną poezją i wszelkiego zacięcia farsowego pozbawioną komedją.

W tych warunkach grę aktorów oceniać należy pod kątem widzenia nie intencji autora-poety, lecz odrębnego ujęcia przez reżyserję. Jeżeli Żermena, zamiast być wolną od wszelkiego wybujałego erotyzmu i tylko zaniepokojoną w swej niewieściej próżności kobietą, miała być kobietą niezaspokojoną płciowo i wskutek tego nieco shisteryzowaną to p. Gzylewska rolę swoją wykonała bardzo szczęśliwie. Natomiast p. Horecka w roli Marceli nie zdołała przekonać nas o tem, że bez własnej woli i świadomości ujarzmia wszystkie serca męskie: w jej wykonaniu współczynnik świadomej i wyrafinowanej woli był aż nadto grubo podkreślony. Role męskie wykonane były przez pp. Grolickiego, Ziembińskiego i Krotkego bardzo dobrze. Zwłaszcza sceny końcowe pierwszego aktu bardzo się p. Grolickiemu udały, miał dużo pogodnego humoru i szczęśliwie unikał wszelkiej przesady. Naogół djalog prowadzony był żywo i barwnie, co świadczy chlubnie o poziomie artystów.

Jako szczegół mniejszej wagi wprawdzie, ale jednak nie obojętny, zganić trzeba brak wszelkiej dyscypliny w strojach artystów. Gdy się gra sztuki, odtwarzające pewne środowisko towarzyskie, to trzeba się jednak w miarę możności liczyć z obowiązującymi w tem środowisku zwyczajami. Wbrew temu p. Gzylewska od rana ukazuje się w toalecie wyraźnie wieczorowej, p. Horecka świeci długiemi brylantowemi kolczykami przy szlafroku, a p. Krotke do śniadania przebiera się w smoking. Poco to? **emb.**

Z sali koncertowej w Łodzi

Program czwartego poranku muzycznego dnia 5 -- b. m. pod dyrekcją B. Szulca obejmow... uwerturę do op. „Der fliegende Holländer" Wagnera, „Szecherazadę" Rimskija-Korsakowa, oraz koncert skrzypcowy D-dur Czajkowskiego, wykonany przez solistę Ignacego Weisenberga.

Suita „Szecherazadę" pod względem treści, to splot fantastycznych obrazów morza, krajów i miast wschodnich, czarujących pięknem, wzruszających grozą, olśniewających barwami. Pod względem struktury symfonicznej, suita ta opiera się na motywach instrumentów solowych. Temsamem stawia szereg pewnych wymagań w stosunku do zespołu orkiestry, jak również i do dyrygenta.

Partje solowe wykonane zostały naogół dobrze, choć partja harfy powierzona z konieczności fortepianowi nie brzmiała tonalnie tak, jak na instrumencie wymaganym.

Pana Ignacego Weisenberga, jako solistę cechuje przedewszystkiem pewność na estradzie, rzecz zasadniczo potrzebna koncertantowi i pożądana. Ale i tutaj musi być przestrzegana pewna granica. Solista nie powinien zapominać, że wobec sztuki należy zachować się z czcią i godnością.

Za niewłaściwe uważam przerywanie kadencji i dostrajanie instrumentu, tembardziej, iż naglącej potrzeby nie było, a także zwracanie się do orkiestry i wskazywanie jej ekspresji, bowiem to już spoczywa wyłącznie na ręku dyrygenta.

P. I. Weisenberg ma ton, choć niezbyt donośny, ale szlachetny, wyraz liryczny w pięknym koncercie Czajkowskiego uwydatnił on w mierze dostatecznej. Walory techniczne gry oraz opanowanie przez solistę instrumentu przedstawia się również dobrze.

W. J. Korwin.

Pamiętnik książki

Z interesującego tego pamiętnika, który przypadkiem znalazłem za szeregami książek w mej bibljotece, przytoczę tylko najciekawsze fragmenty.

Nie wiem, nie jestem w stanie zrozumieć i pojąć tego, w jaki sposób książka ta mogła napisać pamiętnik. Co więcej — nie wiem, w jaki sposób zrozumiałem to, co ona napisała. I—conajwięcej—dziś już nie potrafiłbym określić, jak ten pamiętnik zewnętrznie się przedstawiał, jak wyglądało pismo i t. d.

Początek pamiętnika — to geneza książki.

Musi zadziwiać ta pamięć przy rodzeniu się. Ludzie tego nie pamiętają, niestety. Książka zaś pamięta wszystko od chwili, gdy rodzic jej, którego nazywa autorem, począł ją w swym mózgu w jakiemś mieście i tak się tem pierwszem ojcostwem ucieszył, że wpadł pod tramwaj. Pierwszy pomysł kiełkował długo. Książka rodziła się. Pęczniała i potężniała.

Lecz tu zacytujmy słowa pamiętnika:

— „Zdawało mi się w tym okresie — pisze książka — że objętością swą rozsadzam już nietylko głowę autora, ale przestwór cały. Byłam wtedy dumna i piękna. Narastałam z dnia na dzień, z godziny na godzinę, coraz szybciej. Widziałam doskonale swe ponętne kształty: głowę swą — ideę, ręce i nogi — bohaterów moich, aksamitne piersi — pierwiastek mego erotyzmu — i czułam bicie serca mego — słów.

Aż pewnego dnia uczułam w sercu tem ból straszliwy!

Ktoś przemocą szarpał je po kawałeczku!

Targałam się w niemocy swej i przeklinałam potworność mego losu!

Aż — zrozumiałam. To on — autor. On mnie pisał. On mnie wydawał na świat...

Jak nitki wąskie i cienkie spływałam w strasznym bólu na białe uśmiechy papieru. Ostry, sztywny punkt stalówki, maczany w zabójczym płynie atramentowym rozwodził mnie, rozczyniał, rozcieńczał, rozdrabiał. Znikła moja potęga — potęga, którą zdawało mi się, że świat rozsadzę. Byłam ułożona równemi płatkami w zeszycie.

I tak rodziłam się przez wiele tygodni...

Potem autor czytał mnie na głos. Co pewien czas brał zabójczy lancet pióra i operował mnie nieludzko. Ucinał, zszywał — przykrawał według nowego swego widzimisię..."

Następnie opisuje książka jeszcze gorsze męczarnie swoje. Ktoś ją szarpał, ktoś brudnemi paluchami ją smarował. Autor kłócił się z jakimś potworem. Parę razy w pasji największej ciskał ją z całych sił o stół lub o podłogę. Po długich krzykach położyli ją wreszcie spokojnie i przysypali deszczem ciężkich srebrników i lekkich, zniszczonych papierków.

— „Sprzedał mnie — pomyślałam sobie — pisze dalej książka — i zobaczyłam, że odchodzi. A więc oddał mnie na pastwę wydawcy. Uczułam dziwny smutek i przygnębienie. Leżałam długo w jakiejś dusznej szufladzie z kilkoma innemi, które dzieliły mój los. Jakiś mały kalendarzyk kieszonkowy objaśnił mnie, że znajduję się w niewoli jednego z największych wydawców.

Chcąc zawrzeć znajomość z innemi rękopisami, aby się trochę rozerwać pogawędką, przedstawiałam się kolejno współtowarzyszom mej niedoli, wymieniając nazwisko swoje — tytuł.

— Jestem Sennik Egipski w nowem opracowaniu — przedstawił mi sie pierwszy rękopis.

— Trędowata, wydanie dwudzieste — usłyszałam nazwisko drugiego.

— Arytmetyka — rzekł trzeci.

— Przewodnik po Warszawie z mapą — objaśnił się czwarty.

— A my — chórem odrzekły pozostałe rękopisy — jesteśmy z wielkiego rodu 95-groszówek.

Co pewien czas otwierała się szuflada i jakieś wielkie kleszcze palców porywały ofiarę. Już pusto było w szufladzie. Trędowata wydanie dwudzieste i Sennik Egipski w nowem opracowaniu pierwsze opuściły szufladę. Wreszcie po długim czasie i inne porwano".

Oślepiona światłem dziennem książka straciła przytomność. Ocknął ją ból. Była szarpana na kawałki. Rozdzielono ją na kilka części. I zaczęła się nowa męka. Przeistaczano ją. Przez gorące kotły ołowiane przechodziły jej słowa, by odradzać się w równych, lśniących linijkach. Tysiączne perypetje, jakie przeszła, są tak zawiłe, że nawet nie będę ich tu streszczał.

— „Wreszcie — pisze dalej — po przetworzeniu mnie i męczącem oprawieniu ujrzałam się w nowej szacie. Było mnie kilka tysięcy. Nie dziwiłam się temu faktowi. Przestałam się dziwić. Mnie oznaczono numerem 100.

Leżałam wśród morza książek przez parę dni. Wreszcie ktoś mnie kupił. Niestety! Kupił do publicznej czytelni!

Tu żywot mój, obfitujący w męczarnie, stał się tak potwornym, że gdybym znała Boską Komedję, mogłabym nazwać go dantejskiem piekłem.

Co ci ludzie ze mną robili!

Jak oni mnie poniewierali!

Przedewszystkiem nikt nie widział mej głowy. Głowa moja — to idea moja, którą obdarzył mnie autor. Nikt nie patrzył nawet w tę stronę. Wielu bawiło się memi rękami i nogami, czyli bohaterami memi. Większość pożądliwie wpatrywała się i całowała obrzydliwie moje piersi, nie widząc i nie słysząc pod niemi serca moich słów. Autorze — wzdychałam nieraz — czemu urodziłeś mnie z temi piersiami? Czyż ten pierwiastek erotyzmu, który ty tak pięknie w słowach swych określasz, był potrzebny? Ludzie słów nie rozumieją. Biorą tylko ich pusty dźwięk za ich treść. Ludzie czytają mnie pobieżnie. Tam, gdzie jestem rzadziej drukowana, gdzie bohaterzy moi rozmawiają ze sobą. Nie wmyślają się we mnie. Nic ich nie obchodzi podłoże moje głębokie, moja głowa ich nic nie interesuje. Autorze, o autorze! Pocoś mnie zrodził w męce, na mękę moją? Poco? Dla kogo? Poco?!!"

Tak się żali biedna, poniewierana książka.

— „Potem ludzie nie czytali mnie. Długo leżałam w zapomnieniu. Ktoś mnie znów pożyczył i nie oddał już do bibljoteki. Gdzieś mnie zostawił. Ktoś inny mnie znalazł.

— Ach, znam ją — cudowna rzecz — rzekł — i zaniósł do swojej bibljoteki".

To ja cię znalazłem, cudowna książko z nieistniejącej już wypożyczalni...

Mówiłaś o wielkiej pracy człowieka.
Mówiłaś o wielkiej miłości człowieka.
Mówiłaś o ludzkości.
Mówiłaś, że szczęście ludzkości jest nieszczęściem poszczególnych ludzi.
Mówiłaś, że praca poszczególnych ludzi jest szczęściem ludzkości.
Mówiłaś o pięknie i prawdzie.
Opowiadałaś o wielkich bohaterach życia, o wielkich męczennikach idej, którzy indywidualnem poświęceniem się tworzyli jutro świata.
Znalazłem twój pamiętnik...
Biedna książko!

(Kraków). **Witold Zechenter.**

Można się było jeszcze raz przekonać, że przepych nie oznacza jeszcze artyzmu.

Mimochodem przypominają się słowa Bernarda Shaw: „Gdyby wytwórnie ograniczyły koszty filmów do 25,000 dolarów, poziom artystyczny kina podniósłby się znacznie".

* * *

Podobnie w obrazie „Naszyjnik czy dziewczyna", amerykańskiej wytwórni „First National Pictures" — przepych jest szalony, bogate choć banalne dekoracje, piękne kostjumy — ale brak solidnego scenarjusza i inwencyjnej pracy reżyserskiej. Filmu tego uratować nie mogła śliczna Maë Murray, która zresztą świetnie tańczy, ale nie może się uporać z głupotą scenarjusza.

Taniec apaszów — Maë Murray — ożywia znakomicie film, jako scena wybitnie „ruchowa", ale nie może zastąpić brakującej treści. Gdyby jednak film ten posiadał lepszy scenarjusz, żywą akcję, wówczas i Murray pokazałaby zupełnie inną grę. Jest to bowiem jedna ze zdolniejszych „stars" amerykańskich.

* * *

Bardzo rzadko zdarza się, że t. zw. film wystawowy stoi na wyższym poziomie artystycznym, niż album z pięknemi zdjęciami. A jednak zdarzyło się.

Mam na myśli potężny film malarski „Złodziej z Bagdadu" wytwórni „United Artistes", w reżyserji Raoul Walsha z osławionym Douglasem Fairbanksem w roli tytułowej.

Jest to poetycka bajka o złodzieju Achmecie, który pod wpływem miłości do pięknej księżniczki arabskiej, porzucił swój „zawód", rozpoczął nowe życie, przeszedł nawet okres próby po to, aby jako dostojny książę stał się godny ręki księżniczki. Julanne Johnston — nieznana dotychczas aktorka).

Bajka, prymitywna bajka 1001 nocy, jak wizja przesunęła się przed oczami widza. Nadmierne używanie trików nie razi bynajmniej. Triki Walsha są wysoce artystyczne, wzruszają, a najpiękniejsza bodaj scena to jazda Achmeta na Pegazie w chmurach.

Douglas Fairbanks nie gra twarzą — w przeciwieństwie do aktorów niemieckich, jak Veidt lub Jannings — lecz całem c i a ł e m.

Jego gest jest dynamiczny, a nie statyczny.

* * *

Czy pojęcie „języka" kina „mowy ekranu" — jest frazesem?

Mam wrażenie, że niektóre filmy usprawiedliwiają ten termin. Kto pamięta wizualną scenę Turżańskiego w filmie „Kurjer Carski" (rozbity na fragmenty bal dworski), dalej laboratorjum Marcela L'Herbier w „Nieludzkiej", ten rozumie symbole kina, pojmuje ich znaczenie.

Teraz zanotować musimy nowy film mało reklamowany, ale stojący na wysokim poziomie p. t. „Zatajone ojcostwo" z Marją Jacobini i Rollem Normanem.

Koncepcja tego filmu przypomina polski obraz „Za głosem serca".

Scenarjusz nie jest lepszy, ale realizacja pierwszorzędna. Reżyser stworzył kilka potężnych scen (potężna, grozę budząca scena pożaru okrętu, oddana z wielkim realizmem) — które dają dobre pojęcie o umiejętności reżysera.

Całość utrzymana w silnym rytmie.

Pozatem w kinach warszawskich nic godnego uwagi.

Kinomani czekają na nowe szlagiery, na Chaplina, Buster Keatona i inne arcydzieła mistrzów „Niemej Sztuki".

(Warszawa).

J. Fryd.

Charlestona tańczy się nieco inaczej. Tancerze odsuwają się od siebie na pół metra i patrzą uważnie na to, co dokazują ich nogi. Jest to bowiem taniec, wymagający stałej wzrokowej kontroli. Konie umieją tę sztukę już oddawna napamięć, ale ludzie dopiero zaczęli i muszą się jeszcze trochę ćwiczyć, bo na dwóch nogach trudniej, niż na czterech. Zczasem, miejmy nadzieję, ludzie dorównają koniom.

Ci, którzy patrzą na tańczących charlestona, widzą zazwyczaj za wiele i wedle słów wieszcza, sięgają tam, gdzie wzrok nie sięga, a przynajmniej nie powinien sięgać zbyt łatwo. Ale trudno, to już jest czysty zysk tych, którzy nie tańczą.

Takich jest jednak niewielu. Na sali dancingowej odbywa się bowiem zbratanie ludów w myśl przepowiedni proroków. Tańczy tam bowiem wróg męża z przyjaciółką swojej żony, tańczy zięć z teściową, wierzycielka z dłużnikiem, narodowy demokrata z pepesówną, Rozwój z Nalewkówną, Nasz Kurjer z Dwugroszówką... Tańczą wszystkie stany, nacje, partje, konkurencje, nienawiści i zawiści. W nogach więc jest przyszłość świata. Liga nóg postawi świat na nogi. Nie odmówi Cziczerin, gdy go do charlestona poprosi Chamberlainówna. A do Ligi Narodów taki nie wejdzie! Miljarder amerykański zabostonuje się na śmierć z piękną Warszawianką. A pożyczki dolarowej taki nie da!

Równość, wspólność, bliskość ludzkości iści się jedynie i wyłącznie na dancingach. Tańczmy więc!

T-a Stycz.

Kącik

PRZEZIĘBIENIA.

Czasem w lecie odczuwamy chłód i dreszczyk zimna, a w zimie — w czasie trzaskającego mrozu — miłe uczucie ciepła. W tym samym pokoju jeden pragnąłby otwierać okno — inny szuka pieca, aby się ogrzać.

Jak widzimy trudno jest określić w cyfrach i na skali termometru, gdzie zaczyna się chłód i niebezpieczeństwo przeziębienia.

Nad zagadnieniem tem zastanawiali się ostatnio dwaj higjeniści niemieccy Dr. Bachman i Dr. Fleischer i jak się zdaje, znaleźli właściwe rozwiązanie.

Główne pytanie, jakie postawili sobie uczeni brzmiało: która część ciała jest najbardziej wrażliwa na zewnętrzne zmiany ciepłoty?

Po szczegółowych badaniach zgodzono się, że palce są temi najczulszemi wskazówkami. Palce pracują tak precyzyjnie, że sygnalizują zmianę temperatury, zanim jeszcze człowiek zdolny jest ją odczuć. Temsamem stanowią instrument, niezależny zupełnie od subjektywnej wrażliwości na chłód, a to jest w tym wypadku zaletą decydującą.

Z toku dalszych badań wynika, że temperatura na powierzchni palców powinna wynosić najmniej 30 stopni Celsiusa, jeżeli całe ciało ma się znajdować w stanie ciepłoty, zdolnej jeszcze powstrzymać niebezpieczeństwo przeziębienia. Jeśli temperatura palców spada poniżej 30 stopni, to znak, że równowaga ciepłoty ciała została gdzieś naruszona, chociażby człowiek narazie nie odczuwał tego. Przy 25 stopniach palce stają się zimne, a przy 20 następuje ogólne uczucie zimna i chłodu.

Odtąd — zdawałoby się — jest już bardzo łatwo utrzymać w mieszkaniach temperaturę, wykluczającą niebezpieczeństwo przeziębienia. Wystarczy, aby ktoś z obecnych przymocował sobie termometr do palca np. wskazującego i uważał, aby słupek rtęci nie opadł poniżej 30 stopni. Ale tak prostą sprawa ta nie jest. Niektórzy ludzie posiadają wybitny talent do zaziębiania się, a są nawet genjalnie uzdolnieni w tej dziedzinie, gdy z drugiej strony są tacy, którzy w tym kierunku najmniejszych zdolności nie posiadają. Czyli inaczej: Przy tej samej temperaturze zewnętrznej mogą być różne temperatury palców, a co więcej, granica 30 stopni niejednakowo łatwa do przebycia u poszczególnych osób. Podczas gdy lada chłodny podmuch ochłodzi palce jednych — niema poprostu sposobu osiągnięcia temperatury niższej, niż 30 stopni u innych.

A więc w niedalekiej przyszłości każdy z nas zamiast pierścionka nosić będzie na palcu termometr. Szczególnie zaś ludzie, którzy zmuszeni się częściowo się obnażać, np. panie w toaletach wieczorowych. Spojrzy taka pani na termometr na paluszku i widzi że jest tylko 20 stopni. Prędzej — dawajcie szal, bo katar niedaleko!

Ci sami dwaj uczeni stwierdzają i dowodzą ponad wszelką wątpliwość, że t. zw. hartowanie nie wywiera żadnego wpływu na zdolność zaziębiania się, ale to co mówią o właściwościach rozgrzewających gorących napojów — obala nasze najświęsze wierzenia i tradycje.

Panowie ci ośmielają się twierdzić, że kieliszek mocnej wódki lub starego koniaku nietylko nie chroni przed zaziębieniem, ale przeciwnie, zwiększa wrażliwość na zmianę temperatury i u człowieka, który w paskudną mokrą pogodę lub w zimie palnął sobie na rozgrzewkę jeden a może i drugi i trzeci kieliszek, lub rozgrzał się krupniczkiem na miodzie, albo szklaneczką mocnego grogu — słupek rtęci na jego termometrze „palcowym" o wiele łatwiej zejdzie poniżej 30 stopni, niż u tego, który takich środków zapobiegawczych nie stosował. Herezje i nic więcej, proszę państwa — twierdzi jeden z moich znajomych — lekarz z zawodu i świetny znawca alkoholjów z zamiłowania.

A jednak pp. Bachman i Fleischer twierdzą, że oni mają rację.

I twierdzą jeszcze coś gorszego. Mianowicie, jeśli już mowa o rozgrzewce, to najskuteczniej rozgrzewa organizm czysta ciepła woda — skuteczniej jeszcze, niż herbata i kawa.

A więc noście termometry na palcach i trącajcie się kieliszkiem czystej — ale wody. Na zdrowie!

—z—

Licytacje.

Do akt. Nr. 3451-1926 r. KOMORNIK RPZY SĄDZIE OKRĘGOWYM w ŁODZI, **Jan Rzymowski**, zamieszkały w Łodzi, przy ulicy Sienkiewicza 67, na zasadzie art 1030 U. P. C. ogłasza, że w dniu 22 grudnia 1926 r. od godziny 10-ej rano w Łodzi, przy ulicy Piotrkowskiej pod Nr. 85 odbędzie się sprzedaż z przetargu publicznego ruchomości, należących do Józefa Abe i składających się z mebli, oszacowanych na sumę zł. 1105. Łódź, dnia 30 listopada 1926 r. Komornik Jan Rzymowski.

Do akt. Nr. 2724-1926 r. KOMORNK PRZY SĄDZIE OKRĘGOWYM w ŁODZI, **Jan Rzymowski**, zamieszkały w Łodzi, przy ulicy Sienkiewicza 67, na zasadzie art. 1030 U. P. C. ogłasza, że w dniu 21 grudnia 1926 r. od godziny 10-ej rano w Łodzi, przy ulicy Wólczańskiej pod Nr. 19 odbędzie się sprzedaż z przetargu publicznego ruchomości, należących do Spadkobierców Eugenjusza Hentschla i składających się z dwóch raumaszyn, oszacowanych na sumę zł. 700. Łódź, dnia 1 grudnia 1926 roku. Komornik Jan Rzymowski.

Do akt. Nr. 1912-1926 r. KOMORNIK PRZY SĄDZIE OKRĘGOWYM w ŁODZI, **Bronisław Pingielski**, zamieszkały w Łodzi, przy ulicy Południowej Nr. 20, na zasadzie art. 1030 Ust. Post. Cyw. ogłasza, że w dniu 14 grudnia 1926 r. od godziny 10-ej rano w Łodzi, przy ulicy Zgierskiej pod Nr. 121 odbędzie się sprzedaż przez licytację ruchomości, należących do Juljusza Heinzla i składających się z kanapy, 4 foteli i stolika owalnego, ocenionych na sumę zł. 460. Łódź, dnia 29 listopada 1926 r. Komornik Bronisław Pingielski.

Do akt. Nr. 1509 i 1510-1926 r. KOMORNIK PRZY SĄDZIE OKRĘGOWYM w ŁODZI, **Bronisław Pingielski**, zamieszkały w Łodzi, przy ulicy Południowej 20, na zasadzie art. 1030 Ust. Post. Cyw. ogłasza, że w dniu 21 grudnia 1926 r. od godziny 10-ej rano w Łodzi, przy ul. Franciszkańskiej pod Nr. 31 odbędzie się sprzedaż przez licytację ruchomości, należących do Mendla Brodatego i składających się z 2 pomników czarnych granitowych, ocenionych na sumę zł. 1500. Łódź, dnia 6 grudnia 1926 r. Komornik Bronisław Pingielski.

Do akt. Nr. 2629-1926 r. KOMORNIK PRZY SĄDZIE OKRĘGOWYM w ŁODZI, **S. Górski**, zamieszkały w Łodzi, przy ulicy Sienkiewicza 9, na zasadzie art. 1030 Ust. Post. Cyw. ogłasza, że w dniu 14 grudnia 1926 r. od godziny 10-ej rano w Łodzi, przy ulicy Kamiennej pod Nr. 6 odbędzie się sprzedaż przez licytację ruchomości, należących do Moszka Brokmana, składających się z 20 par nakryć na łóżka, ocenionych na sumę zł. 465. Łódź, dnia 22 listopada 1926 r. Komornik S. Górski

Źródła zakupu i dostaw dla przemysłu

Redakcja i administracja w Łodzi, ul. Piotrkowska 85, tel. 45-50
Oddział redakcji i administracji **w Warszawie,** Wilcza 16, tel. 305-07
" " " **w Poznaniu,** Skarbowa 7, tel. 28-58

Ceny ogłoszeń: Strona ogłoszeniowa dzieli się na 4 szpalty. Ogłoszenia zwyczajne 25 gr. za 1 milimetr wysokości w jednej szpalcie. Ogłoszenia w tekście 40 gr. za milimetr wysokości w jednej szpalcie. Drobne 10 gr. za wyraz. Ogłoszenia w „Źródle Zakupu" 3 zł. za 2 wiersze, każdy następny wiersz 1 zł.

Redaktor i wydawca: *Paweł Zielina.* Odbito w Drukarni Państwowej, Piotrkowska 85